

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

J. K. MACIEJEWSKI — U zapomnianego Worcella. L. BARTELSKI — Spotkanie na moście.
I. ERENBURG — Dziewięta fala. M. INGLOT — „Borsuki” Leonowa. W. MELCER — Dżuma.
G. BIDWELL — Kenia w walce o demokrację. K. PAŁYS — Robotnicy PGR-u Czechowice.
J. OZGA-MICHAŁSKI — Pod Rostowem. M. ŁOJEWSKA i I. SCHEUR — W kręgu Powlowicz...
L. MAJ — Z wyznań i doświadczeń. D. GAŁAJ — Ziemia kwitnąca
W. DRYGAS — Jeden średniak spod Łowicza, drugi spod Wielunia.

Rok IX

Warszawa, dn. 21-28 grudnia 1952 r.

Nr 51-52 (385-6)

HASŁO KAŻDEGO CZŁOWIEKA

„BYł jest i będzie poetą nadchodzącego szczęścia i symbolem jedności ludzi przeciw śmierci”. Tak określił treść życia i nieśmiertelnej twórczości Pawła Eluard inny wielki poeta Francji — Aragon.

Nie jest sprawą przypadku, że hasło tak szerokie, tak wszechobejmujące, padło z ust komunistów. Kied, nad Europą zatrzasnęło się czarne wieko okupacji, komuniści podjęli sztandar walki. Komuniści podjęli rzucone w błoto sztandary wolności i niepodległości narodów, komuniści, o wschodzie Października, rzucili ponad rządy i trony proste, a tak trudne słowa: POKÓJ ŚWIATU!

Wielkie prawdy płyną bowiem od czoła ludzkości. Wielkie — bo ważne, twórcze, konieczne i życiodajne pod każdą szerokością globu. I trudne — tak trudne właśnie jak walka życia ze śmiercią. A tak oczywiste i jasne, jak samo życie, jak dzień powszedni, szary dzień pracy w fabryce i sklepie, na polu i w biurze, przy codziennych zabiegach gospodarskich i tworzeniu arcydzieł.

Samobójstwo to rozpacz. A rozpacz nie mogą żyć ani ludzie, ani narody. Dlatego żaden naród nie pragnie zniszczenia i śmierci, swojej, czy cudzej. Aby człowieka uczynić mordercą, trzeba najpierw by przestał być człowiekiem. Są wśród Amerykanów mordercy. Za czasów Wilsona krzyżowali Murzynów na Haiti. Dziś stawiają krzyże na Korei, ofiarą krwi koreańskich żołnierzy wolności przywracając blask znaku pohańbionego w faszystowskich krucjatach. To prawda, na ziemi Lincoln'a wyrosli mordercy. Nie chodzi o ślepe narzędzia, tępych, nieszczęśliwych oprawców, którzy istotnie nie wiedzą co czynią. Korzenie zbrodni kryją się w sztabach i gabinetach, w skarbcach bankowych, bilansach i dywidendach.

Ale Amerykanie nie są narodem morderców. Chcą godziwego zarobku, chcą pewności pracy, chwili wytchnienia wieczorem i paru groszy na czarną godzinę. Chcą dzieci posyłać do szkół, nie na front, wykerować na ludzi, nie zabójców. A jednak Amerykanie, chociaż są wielkim i potężnym narodem, nie wiedzą o swojej sile. Nie wiedzą, że od ich woli zależy móga rządy ich kraju, że ich wola, sprężyną i wola stu innych narodów świata, przekreśli może wojnę, przywrócić narodom wolność, odsunąć od nich na zawsze czarne widmo śmierci.

Dlatego na wieńskim Kongresie Narodów przedstawicielka Chin, wdowa po wielkim rycerzu wolności, założycielu demokracji chińskiej, wyzwała demokrację Stanów Zjednoczonych do odrzucenia kłamstwa, spojżenia w prawdę i wysnucia wniosków zgodnych z interesem szarego obywatela Ameryki. Dlatego do sumienia obywateli Ameryki odwołała się

przedstawicielka Korei pytając, czy zgodne z ich wolą synowie ich płamią ręce krwi synów jej ziemi.

Nie ma bowiem imperialistycznych narodów, są tylko imperialistyczne rządy i grupy, samowładnie w imieniu narodów uprawiające politykę wojny. Dlatego Kongres Wiedeński stał się KONGRESEM POWSZECHNOŚCI. Jedność przeciw śmierci, jedność woli pokoju złączyła wszystkich. Nikogo już nie przeraża stawiany przez propagandę wojenną znak równania — komuniści pragną pokoju. Cóż stąd? Nie tylko oni. Pokoju chcą narody socjalistyczne i niemniej gorąco chcą go narody żyjące w orbicie kapitalizmu. Różne ustroje mogą więc istnieć obok siebie w pokoju, wojna zagraża wszystkim jednakowo; niezawistość, bezpieczeństwo i wolność wszystkich ludów związane są niepodzielnie ze sobą. Gdy walec zaborczy niweluje teren pod przyszłe działania wojenne, między mrówki zarówno w mrowiskach kolonialnych, jak i w metropoliach. W dziesiątkach krajów jak śnieży, naloż trądu rozsiadane bazy wojenne tworzą krawędź wojennej pokrywy, jaką imperializm naciskać chce na świat, by go zadławić.

Imperializm zaskakuje narody, budując bez ich wiedzy punkty wypadowe i bez ich wiedzy przykładając żagiew podpalą a dla wzniecenia nowych pożarów. Wojna, gdziekolwiek się toczy, jest zbrodnią. A w świecie, po którym krąży atomowy szaleniec, stanowi ciągłą groźbę.

Można być wrogiem komunizmu, być pacyfistą integralnym, księdzem katolickim, czy muzummańskim duchownym, lub nawet przedstawicielem niektórych kapitalistycznych kół gospodarczych, za wyjątkiem monopolistów albo przedstawicieli interesów wyzwalających się kolonii. To wszystko dzieli. Ale gdy żołdak na tronie republiki milionerów grozi wojną, znikają różnice. Linia podziału odcina narody od obozu morderców. Eisenhower zostaje sam.

Taki jest sens i taka pierwsza nauka Wiedni. Nauka druga wskazuje, że rozpętany szaleniec tylko wówczas poskramia swoje zapędy, gdy czuwa nad każdym jego krokiem jednolita, zmobilizowana i czynna opinia światowa. Wiedeń był wielkim aktem mobilizacyjnym. Walka o pokój trwa, a zakończyć się może i musi tylko całkowitym zwycięstwem.

Żyjemy w czasach spełniania się legend i wierzeń. Lat temu 1952 spłynęła na świat zapowiedź pokoju ludziom dobrej woli. Zadaniem naszego pokolenia jest wcielić ją w życie, urzeczywistnić jedność ludzi przeciw śmierci, otworzyć bramy świata nadchodzącemu szczęściu.

Andrzej Skiba

CHCĘ...

Chcę ziemi i ognia, chcę chleba, cukru, pszenicy, morza, książek i roli dla wszystkich ludzi. Dlatego błagam się dziś bezdomny. Wyrok zdrajcy mnie ściga a jego sykofanci, jak horda małp tresowanych, chcą zetrzeć moje imię.

Stałem z tym, który jest prezydentem u wejścia kopalni, owej pustyni zapomnianego światu, stałem z nim i wołałem do mych cierpiących tam braci: „Już nie będziecie więcej chodzić w lachmanach i szmatach, już nie powita was dzień bez chleba, powstaniecie

jako prawdziwi synowie swego kraju. Nareszcie podzielimy się całym czystym cudem lasu. podzielimy się jego pięknem. Oczy kobiet nie będą już nigdy płakać nad swoimi dziećmi”. Ale gdy zamiast światłości i miłości z nim dzielić, na ciemność, głód i mękę skazali człowieka, tego, co ich przysięgom uwiarył, tego co odzyska swą moc, podobną drzewu, potężną i czułą — wtedy nie byłem już z lichym mianowaniem, lecz z tamtym bezimiennym. Byłem z moim ludem.

Chcę, aby mój kraj był dla mego ludu. Chcę, aby świetliste sploty mego kraju dzień jasny opromienił. Chcę ukochania światła i ukochania orki, Chcę wymazać bez śladu linię, którą kreślą w nienawiści, by lud mój pozabawił chleba. Spolszczyła Irena Tuwim

*) Aluzja do prezydenta Chile — Gonzalesa Vidali, który wybrany głosami demokracji, przeszedł na pozycję jej wroga.

STALIN O POKOJU

Rok 1924:

MASY ludowe wiedzą, że Władza Radziecka pierwszą rozpoczęła atak przeciwko wojnie imperialistycznej i rozpoczynając atak, podcięła wojnę. Masy ludowe widzą, że Związek Radziecki jest jedynym krajem walczącym przeciwko nowej wojnie. Sympatyzują one z władzą radziecką dlatego, że jest ona chorążyem pokoju między narodami i niezawodną tarczą przeciwko wojnie.

Rok 1925. XIV Zjazd:

WALKA o pokój, walka przeciwko nowym wojnom, demaskowanie wszystkich kroków, które są czynione w celu przygotowania nowej wojny, demaskowanie takich kroków, które chorągwią pacyfizmu osłaniają faktyczne przygotowywanie wojny — oto nasze zadanie.

Rok 1927. XV Zjazd:

U TRZYMANIE stosunków pokojowych z krajami kapitalistycznymi jest dla nas zadaniem koniecznym. Podstawą naszych stosunków z krajami kapitalistycznymi jest stwierdzenie możliwości współistnienia dwóch przeciwstawnych systemów. Życie całkowicie to potwierdziło.

Rok 1927. Do amerykańskiej delegacji robotniczej:

U WAZAM, że istnienie dwóch przeciwstawnych systemów — systemu kapitalistycznego i systemu socjalistycznego — nie wyklucza możliwości takich porozumień. Sądzę, że porozumienia takie są możliwe i celowe w warunkach pokojowego rozwoju. Wywóz i przywóz są najbardziej odpowiednim gruntem dla takich porozumień. To samo można powiedzieć o dziedzinie dyplomatycznej. Prowadzimy politykę pokoju i gotowi jesteśmy podpisać z państwami burżuazyjnymi pakt o nieagresji. Prowadzimy politykę pokoju i gotowi jesteśmy zawrzeć porozumienie w sprawie rozbrojenia do całkowitego zniszczenia armii stałych włącznie, co zadeklarowaliśmy wobec całego świata jeszcze na konferencji genueńskiej. Oto macie podstawę do porozumienia w dziedzinie dyplomatycznej.

Rok 1934. XVII Zjazd:

NASZA polityka zagraniczna jest jasna. Jest to polityka zachowania pokoju i wzmożenia stosunków handlowych ze wszystkimi krajami. ZSRR nie ma zamiaru zagrażać komukolwiek, ani — tym bardziej — napaść na kogokolwiek. Jesteśmy za pokojem i bronimy sprawy pokoju. Ale nie boimy się gróźb i gotowi jesteśmy odpowiedzieć ciosem na cios podżegaczy wojennych. Kto pragnie pokoju i dąży do rzeczowych stosunków z nami, ten zawsze znajdzie u nas poparcie. Ci zaś, którzy próbują napaść na nasz kraj — otrzymają drużogocę odpór, aby na przyszłość odczuli im się wtykać swój świński ryj do naszego radzieckiego ogrodu.

Rok 1944:

Z ADANIE polega nie tylko na tym, aby wygrać wojnę, lecz również na tym, aby uniemożliwić zrodzenie się nowej agresji i nowej wojny, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na długi okres czasu.

Rok 1946. Rozkaz Ministra Sił Zbrojnych ZSRR:

R OZGROMIENIE i zlikwidowanie głównych ognisk faszystwu i agresji światowej doprowadziły do głębokich zmian w życiu

politycznym narodów świata, do poważnego wzrostu ruchu demokratycznego wśród narodów. Masy ludowe, nauczone doświadczeniem wojny, zrozumiały, że losu państw nie można powierzać rządom reakcyjnym, które kierują się ciemnymi, kastowymi, egoistycznymi i antynarodowymi celami. Dlatego właśnie, nie chcąc dłużej żyć na starą modłę, narody biorą losy swych państw we własne ręce, wprowadzają ład demokratyczny i prowadzą aktywną walkę przeciwko siłom reakcji, przeciwko podżegaczom do nowej wojny. Narody świata nie chcą, by powtórzyły się nieszczęścia, jakie przynosi wojna. Nieugięcie walczą one o utrwalenie pokoju i bezpieczeństwo...

Coty świat mógł się przekonać nie tylko o potęgę państwa radzieckiego, lecz także o sprawiedliwym charakterze jego polityki, opierającej się na uznaniu równouprawnienia wszystkich narodów, na poszanowaniu ich wolności i niezawisłości. Nie ma żadnych podstaw do wątpienia o tym, że Związek Radziecki również w przyszłości pozostanie wierny swej polityce — polityce pokoju i bezpieczeństwa, polityce równouprawnienia i przyjaźni narodów.

Rok 1951. Rozmowa z korespondentem „Prawdy”:

P OKÓJ zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą bronili jej do końca. Wojna może stać się nieuniknioną, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omoatać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć do nowej wojny światowej.

Rok 1952. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR”:

W SPÓŁCZESNY ruch w obrocie pokoju ma na celu zmobilizowanie mas ludowych do walki o utrzymanie pokoju, o zapobieżenie nowej wojnie światowej. A zatem ruch ten nie zmierza do obalenia kapitalizmu i ustanowienia socjalizmu — ogranicza się on do demokratycznych celów walki o utrzymanie pokoju... Być może, że przy określonym zbiegu okoliczności walka o pokój rozwinie się gdzieś w walkę o socjalizm ale nie będzie to już współczesny ruch na rzecz pokoju, lecz ruch na rzecz obalenia kapitalizmu.

Rok 1952. XIX Zjazd:

G DY w latach 1918 — 1919, w czasie zbrojnej napaści burżuazji angielskiej na Związek Radziecki, robotnicy angielscy organizowali walkę przeciwko wojnie pod hasłem: „ręce precz od Rosji”, było to poparcie, poparcie przede wszystkim walki własnego narodu o pokój, a następnie również poparcie Związku Radzieckiego. Gdy towarzysze Thorez lub towarzysze Togliatti oświadczają, że ich narody nie będą walczyły przeciwko narodowi Związku Radzieckiego, to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie walczących o pokój robotników i chłopów Francji i Włoch, a następnie również poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego. Ta szczególna cecha wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii nie tylko nie są sprzeczne, lecz, przeciwnie, pokrywają się całkowicie z interesami milijonów pokój narodów. Co się dotyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ZIEMIA OWOCÓW I SŁOŃCA

1.

Ziemio kanałów, ryżu i winogron,
Ziemio szeroka i hojna,
Tyś mi podała rękę swoją dobrą,
Gdy mnie z ojczyzny wyгнаła wojna.
Ziemio Alizera Nawoi,
Ziemio prastarej kultury
I nowych przeobrażeń stalinowskich,
Twój chleb mnie karmił, twój strumień poił.
Kiedy wśród twoich bawelnianych pól
Tęskniłem za ojczyzną,
Twój człowiek mnie pocieszał:
„Ujrysz ją wkrótce wolną!”

2.

Pod twoim słońcem i wiatrem
Z twoim człowiekiem
Zieloną piłem herbacę.
Gdy było na świecie ciemno,
Ostatnim plackiem
Twój człowiek dzielił się ze mną.

Pod winogradem dojrzałym
Z twoim człowiekiem
Pieśń azjatycką śpiewałem.

W dalekim Uzbekistanie
Z twoim człowiekiem
Mówiłem o Lechistanie.
O dawnym i o przyszłym —
Ludowym,
Przejrzystym jak fale Wisty.

3.

Tu nad grobowcem Tamerlana
Nie westchnie dzisiaj żaden człowiek,
Bo przemoc będzie zapomniana
I — zapomniani jej wodzowie!

Tylko dzień praży go upałem,
Tylko wiatr suchy nad nim wieje,
Piach grzebie gorzką jego chwałę
I zasypuje jego dzieje.

Jego imienia pieśń, rozwiana
Na wietrze, nie powtórzy w słowie,
Bo przemoc będzie zapomniana
I — zapomniani jej wodzowie!

A to, co dobre, to nie zginie.
Minął Tamerlan, zginął carat.
Pieśń o Leninie i Stalinie
Śpiewa dziś Taszkient i Buchara.

I będzie śpiewać, póki ziemia
Karmi się słońcem, poi deszczem,
Dopóki z walki i z natchnienia
Rodzą się strofy pieśni wieszczej.

4.

Wielbłądy idą po piachu
I cienie ich — po piachu.
Niosą bawełnę białą,
A cienie ich — szczerbią.
Słońce zwolna zachodzi,
Wieczór zwolna nadchodzi
I słowik z pieśnią przyszedł,
Jak róż fergańskich Alizer.
Mój sąsiad Kadyr właśnie
Opowiada mi baśnie,
Miesiąc nad winogradem
Idzie baśni tych śladem,
A potem ten sam Kadyr
Walczyl i szedł na zwiały.
W winogradowej Ferganie
Dostałem list niespodzianie!
„Przedem mną wasza rzeka.
Jestem w Warszawie. Czekam!”...
Ja byłem jeszcze w Ferganie,
A Kadyr już w Lechistanie...

5.

Pozdrawiam Cię, Kadyrze, z wolnej Polski naszej,
Pozdrawiam Cię, Kadyrze, z polnej Polski naszej,
Pozdrawiam Cię z Warszawy światem wyzwolonej.
Każdym kłosem i kwiatem wsi Polskiej wyzwolonej.
Kolumną Zygmuntową pozdrawiam Cię z dala
I gołębiem nad głową pozdrawiam Cię z dala,
Wysokim budownictwem i walką z raziemem
Pozdrawiam Cię, Kadyrze z Twoją ojczyzną,
I każdym rusztowaniem, co sięga obłoków,
Pieśnią, pracą, oświatą i walką o pokój,
Trasą W-Z pozdrawiam, nowej pieśni nutą,
Dymem Łodzi Fabrycznej, Śląskiem, Nową Hutą
I ludźmi, co na ziemi naszej gospodarzą!
Niech ptaki polskie pieśń mą uzbekim przekaza!

Włodzimierz Słobodnik

LUDWIK MAJ

Z WYZNAŃ I DOŚWIADCZEŃ

O potężnego głosu milio-
nów serc, bijących wza-
cznością dla Wielkiego
Stalina, niech mi będzie
wolno dołączyć i głos mo-
jego serca — matoro-
lnego chłopca z Podhala — gdyż Stalinowi
zawdzięczam to, że stałem się czło-
wiekiem, że zdobyłem prawo do du-
my ze swoich czynów.

Kim byłbym dzisiaj, gdyby nie
Stalin? Zdrącając mej klasy i mojej
Ojczyzny, w najlepszym razie
zgorkniałym emerytem, przeklina-
jącym drogę swojego życia. Od naj-
młodszych lat „wychowywałem” mnie
„Piast”, zapuszczający głęboko na na-
szym Podhalu swe zdrazieckie ko-
rzenie. Przed wojną jako chłopiec
przejmowałem wpływy idealistycz-
ne „Wici”, po wyzwoleniu znalaz-
łem się w PSL i — otumaniony —
poszedłem za Mikołajczykiem, a
więc w rezultacie do walki z Partią.
Nie mogłem się jako „ludo-
man” pogodzić z kierowniczą rolą
klasy robotniczej, wierzyłem, że
decydować o losach narodu powin-
ni chłopcy — bo „chłop potęgą jest
i basta”. Zamykałem oczy na walkę
klasową, toczącą się wewnątrz
chłopsstwa i nawoływałem za PSL-
owskimi wodzami do solidaryz-
mu klasowego, aby „nie dać się roz-
bić”. Zwiódno mnie dodatkowo i to
jeszcze, że do naszej komórki PPR
wkręciło się z początku kilku taj-
daków, reakcjonistów i złodziejów
kół — walce z nimi przeniosłem
na całą partię i jeszcze później,
gdy uwolniła się od tego balastu,
powtarzałem brednie, że partia
chce chłopów krzywdzić.

Wątpliwości zaczęły się budzić
we mnie dopiero wtedy, gdy spo-
strzegłem, że naokoło mnie grupo-
wali się wszyscy, z którymi wal-
czyłem przed wojną i których nie-
nawidziłem głęboko swoim bied-
niackim instynktem, że wychwala-
ją mnie najgorsze łajdaki i reak-
cjonisci — począwszy od pokuma-
nych dopiero co z okupantem miej-
scowych spekulantów i wyzyskiwa-
czy, a skończywszy na reakcyjnym
klerze. Fajczywa dumą i zacietrze-
wieniem nie pozwoliły mi jednak
wyciągnąć się z zajętych pozycji.
Wtedy rękę wyciągnęła do mnie
Partia.

W r. 1947 zwrócił się do mnie
tow. Harnis, kier. personalny Ko-
mitetu Powiatowego, warszawski ro-
botarz i porażał od serca: Ty lu-
dzie czytać, czytaj więc Maju, czy-
taj Stalina.

Poszedłem za tą radą. Przez dwa
lata przekręcałem „Zagadnienia le-
ninizmu”, słowo po słowie, kartka
po kartce, przez 2 lata wchłania-
łem mądrą naukę stalinowską i
mocowałem się ze sobą we włas-
nej duszy, aż poki wszystko na
stało się dla mnie jasne — i dyk-
tatura proletariatu i walka klasowa
i rola Partii — i wtedy pojąłem
ogrom swojego błędu, ogrom krzyw-
dy, jaką wyrządziłem Partii i na-
szym chłopom. Postanowiłem od-
bić to, co zepsułem. Nie łatwo mi
przyszło stanąć przed obliczem
gromady i jasno powiedzieć o swo-
ich błędach — o błędach, które
nadal jeszcze popełniałem wielu
takich samych biedaków, jak ja. Roz-
począłem pracę od nowa.

Od tego czasu moim niezróżni-
czym nauczycielem i przyjacielem
w pracy są książki Stalina.

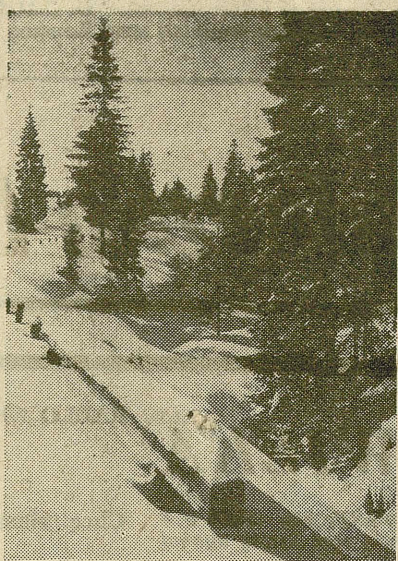
Jest jeszcze w naszej pracy spo-
ro braków i niedociągnięć, sporo
jeszcze drobnych, ale przecież do-
tkliwych bolączek psuje na codzień
krew pracującym chłopom.

W jaki sposób usunąć te braki
i niedociągnięcia? Stalin wskazuje:
trzeba rozwijać szeroką oddolną
kontrolę społeczną, trzeba, aby
działacze przysłuchiwali się czujnie
krytycznemu głosowi mas pracują-
cych.

Niestety, spotykamy jeszcze w
naszym powiecie, „działaczy”, któ-
rzy nie biorą sobie do serca tego
ważkiego wskazania.

Z powodu niechlujnej roboty ta-
kich właśnie „działaczy” w groma-
dzie Sidzina przeszło 100 gospodar-
czy od 3 lat opłaca podatki i
wszelkie inne świadczenia od grun-
tów, których... nie posiadają. Fak-
ty: Chorąży Karol ma zapisane 6
ha ornych gruntów, a faktycznie
posiadał 3,5 ha. Podobnie Syć Sta-
niśław, Krupa Władysław, Migos
Władysław, Wiczeorek i wielu in-
nych. Zakatwia się ustalanie tych
gruntów już przeszło rok, z dnia
na dzień chłopom się obiecuje — a
chłopcy jak płacili niesłusznie tak i
płacą dalej. Krytyka sobie, a PRN
w Myślenicach też sobie...

Inne przykłady: Prezes GS i pre-
zes ZSCH z Bystrzy odgrająają się
zespołowi redagującemu gazetkę
gromadzką, który słusznie skryty-
kował ich za pijaństwo. Członek
PZGS w Myślenicach Szymański
oskarżony przez chłopów o kuma-
nie się z kilkoma spekulantami, groził
prokuratorem, ale powiązania z kil-
ką nie zrywa. Kierownik sklepu
GS Smętek chodzi już trzy miesią-
ce obrażony na młodzieżowego ko-
respondenta. Dzięki za drobną w
gruncie rzeczy krytykę — i tak
możnaby snuć litanie tego rodzaju
działaczy, którzy wzbraniają się
uznać oddolną krytykę i tłumiają ją,
nie przebiegając w środkach. Tym
ludziom warto przypomnieć ważne
słowa Stalina: „Nie możemy się o-
bejść bez samokrytyki. W żaden
sposób nie możemy... Bez niej nie-
uniknione są zastój, gnicie aparatu,
wzrost biurokracizmu, podcina-
nie skrzydeł twórczej inicjatywy



klasy robotniczej” (Dziela, t. 12,
str. 175).

I my im o tym sami przypomi-
namy — a robimy to na łamach
naszych gazetek gromadzkich, tej
potężnej broni mobilizującej chło-
pów wokół sprawy oddolnej kontro-
li społecznej. W naszej gminie
nie da się więcej stłamsić krytyki
chłopskiej — przekonało się o tym
już kilku takich, pożałuj boże
działaczy, którzy wylecieli z trzask-
kiem z GRN-u i Gminnej Spół-
dzielni.

Nie ma chyba w Polsce 2-go re-
jonu, któryby tyle zyskał na polity-
ce uprzemysłowienia kraju, co na-
sze przeludnione, ubogie i gospodar-
czo nie samowystarczalne Podhale.
Wystarczy wspomnieć, że w samym
tylko powiecie myślenickim znazio-
ło zatrudnienie w przemyśle 17 000
chłopów. A przecież i u nas — jak
wszędzie w kraju — gdy tylko da-
da się odczuć takie czy inne
przebiegi trudności — pojawiają
się tu i ówdzie szepcane teoryjki,
szerzone przez różnego rodzaju po-
grobówców Mikołajczyka i Gomul-
ki, którzy chcieliby zahamować
nasz rozwój i zdemobilizować chło-
pów w łamaniu trudności.

Mamy i u nas w okolicy takich
„fizjotów” kulaków, jak Franciszek
Szczepaniak z Jasienicy, Woj-
ciech Trop z Sidziny i paru jesz-
cze innych. „Po cóż — mówią —
spieszysz się z rozwojem przemysłu,
jeżeli pociąga to za sobą trudno-
ści? Czy nie lepiej zrobić to nieco
wolniej, ale za to mocniej posta-
wić gospodarke rolną?”

Gospodarkę — rzecz jasna — in-
dywidualną, bo na Podhalu — po-
wiadają oni — warunków pod społ-
dzielczość produkcyjną nie ma.
Ziemia pływka, gorzysta, traktor na-
wet się nie obróci...

A jakież w tej całej gadaninie
brzmi „czuła” nutka troski o chło-
pa, o interes narodu polskiego, ba,
o socjalizm nawet — tylko, że droga
do tego socjalizmu — powiadają —
trochę inna, nie taka szybka, spo-
kojna.

Jest naszym obowiązkiem demas-
kowanie i rozbijanie tego rodzaju
wrednych teorii a z wami pomocą
przychodzi nam tutaj znowu bogate
doświadczenie budownictwa so-
cjalizmu w ZSRR.

„Zadanie polega tu nie na tym —
wskazuje Stalin — by zmniejszyć tem-
po rozwoju przemysłu do poziomu
rozwoju gospodarki zbożowej (ta
zauważały wszystko i spowolniały-
by cofnęły się rozwój gospo-
darki zbożowej do tempa rozwoju
przemysłu i podnieść tempo rozwo-
ju gospodarki zbożowej do poziomu
zapewniającego szybkie posuwanie
się naprzód całej gospodarki naro-
dowej, zarówno przemysłu jak i
rolnictwa” (Dziela Stalina t. 11,
str. 266).

Poza tym innej drogi do socjali-
zmu nie ma. Bo jakież można na-
wet myśleć o zwiększeniu wydaj-
ności rolnictwa bez rosnącego stale
dopływu maszyn, nawozów sztucz-
nych itp., które gwarantuje dopiero
rozbudowa ciężkiego przemysłu?
Zwolennicy zwalniania tempa roz-
woju przemysłu są więc zwolenni-
kami ciężkiej pracy chłopów i zaco-
fania gospodarstwa. Są oni zwo-
lennikami powrotu do przeludnio-
nych wiosek Podhala dziesiątków
tysięcy chłopów z łup głodu, nę-
dzy i wyzysku bogaczy.

Oto treść tej ich 3-ciej drogi, o
której Stalin mówi, że w rzeczywisto-
ści to droga druga — prowa-
dząca z powrotem do kapitalizmu.

Kierując się wskazaniem Stali-
nowskimi, daliśmy — chłopcy z By-
strzy — twardej odprawę tym
wszystkim zamaskowanym słu-
gom kulakom.

Nasz plan przebudowy gminy,
który już wchodzi w stadium rea-
lizacji — przewiduje pełne wspar-
cie przemysłu socjalistycznego —
podstawowego źródła naszego roz-
woju. Wsparzymy go kilku tysiąca-
mi mocnych rąk do pracy, które
odpłyną z naszych przeludnionych
wiosek. Wsparzymy go także pod-
niesieniem naszej produkcji rolnej
— będziemy podnosić ją nie tylko
każdy z osobna, lecz także wspólnie,
gromadzkim wysiłkiem (np.
wspólnie zagospodarujemy postw-
iska), wdrażając chłopstwo do prze-
jęcia na tory gospodarki socja-
listycznej — jedynie zdolnej zapew-
nić chłopu dobrobyt, a rosnącemu
przemysłowi — wystarczającą bazę
aprowizacyjną.

Ludwik Maj

TEOFIL KOWALCZYK

PISMA STALINA — DROGOWSKAZAMI WSI

W IOSNĄ 1952 r. cisze górskich
pól w Kopańcu rozdali ro-
sokot traktorów. Szo nowe.
Odzyskaną ziemię, głęboko jak
nigdy dotychczas, przeorały no-
woczesne pługi. Ieś tam mechani-
cznych koni powiodło cichą i zacofa-
ną gromadę wiejską w przyszłość.
Sekretarz Podstawowej Organizacji
Partyjnej — Błanisz odetchnął z ul-
gą. Kopańce ruszył naprzód.

W gromadzie dokonał się olbrzymi
przełom. Rozpoczęła swoją działal-
ność spółdzielnia produkcyjna. Dwu-
dziesięciu chłopów porzuciło
stare formy indywidualnego gospodar-
owania i włączyło się do socjalistycz-
nego budownictwa. Ale zanim ziemie
przeorały głęboko traktory — po-
stępowa myśl musiała jeszcze głębiej
przeorać dusze ludzkie. A już najgłę-
biej partyjny aktyw gromadki musiał
ugruntować swoją rewolucyjną
świadomość. Bez tego iść w przysz-
łość nie można.

Wszystko, co wielkie, wartościowe
i przełomowe nie przychodzi łatwo.
Triumfalny wjazd traktorów na kopa-
nieckie pola nie dokonał się za po-
średnictwem czarodziejskiej różdżki.
Zwyczajowo osiąga się niejednokrot-
nie po gorzkich porażkach i potknię-
ciach, z których kierownictwo partyj-
ny potrafi wyciągnąć naukę. Nie brak
ich było i w Kopańcu. Jeżeli
dzisiaj wieś jest jedną z przodują-
cych gromad w powiecie, jeżeli wy-
wiązuje się z dostaw dla Państwa,
jeżeli ramie w ramie z klasą robotni-
czą realizuje wielki program budo-
wy podstaw socjalizmu — to niewą-
pliwie jej kierownictwo polityczne
przyswoiło sobie stalinowskie metody
pracy na wsi. Bo tylko one gwa-
rantują zwycięstwo.

Nie tak dawno tutaj, gdzie dziś
rozwija się kolektywna kultura ro-
lna, gdzie szumią kłosaми spółdziel-
cze łany, kłaniał niedowład, a kie-
rownictwo Podstawowej Organizacji
Partyjnej popełniało kardynalne błę-
dy. O założeniu spółdzielni produk-
cyjnej nie można było wtedy myśleć.

FAKTY

W jesieni 1950 r. przeprowadzono
tu akcję skupu zboża. Kopańce jest
typową wsią średniacką. Przeciętny
areal ziemni wynosi tu 8 do 10 ha na
jedno gospodarstwo, przy czym po-
łowa gruntu przypada na łąki i
lasy, jak to bywa w okolicach
górskich. Ziemia nie jest zbyt uro-
dzajna, wymaga dużej staranności
w uprawie.

Jednym z mieszkańców Kopań-
ca jest Tomaszewicz Jan, który
razem ze swoim bratem objął daw-
ną 20 hektarową gospodarkę. Brat
zagospodarował 10 ha, Jan rów-
nież 10 ha w tym 2,5 ha lasu i
3,5 ha pastwisk. Jan był dobrym
rolnikiem. Posiadał 3 krowy, 3 ja-
łowie, 5 świń, (z których 3 zakon-
traktował), 2 konie i 3 owce. Pra-
cował sam z żoną i utrzymywał 3
nieletnich dzieci.

W czasie jesiennej akcji skupu
zboża Tomaszewicz Jan zadeklaro-
wał początkowo 10 m, następnie
zaś po perswazjach trójki gromad-
kiej zgodził się dostarczyć 20 m, —
tyle, ile jego brat. Decyzją GRN w
starej Kominicy wyznaczono mu
jednak 30 m. I tu zaczęła się tra-
gedia. Tomaszewicz zaprotesto-
wał wobec trójki gromadzkiej, o-

świadczając, że jego gospodarka
tyle nie wytrzyma. Trójka gromad-
zka, w skład której wchodził
Nowakowski Marian, sekretarz
Podstawowej Organizacji Partyjnej,
sołtyś Kopytko Wacław i Ulbych
Stanisław ogłosiła Tomaszewicza za
opornego kulaka, przedstawia
sprawę w GRN i uzyskała nakaz
przeprowadzenia przymusowych o-
młotów. Nakaz został bardzo skru-
pulatnie wykonany.

Ale i tego było za mało. Nowa-
kowski. W miejscowym sklepie
spółdzielczym wywieziono na włas-
ne ogłoszenie, aby Tomaszewicz
zostawił jako kulakowi i wro-
gowi Państwa Ludowego nie sprze-
dawać artykułów pierwszej potrze-
by.

Czy na tym już wszystko się
skończyło? Nie. Wiosną 1951 r. kie-
dy chłopcy kontraktowali len, jęcz-
mień i pszenicę jara — Nowakowski
skłamał przed miejscowym przed-
stawicielem PZGS Morańskiemu
Maciejowi zawarcia kontraktu z
Tomaszewiczem.

Co na to gromada?

Opinia gromady obróciła się
przeciwko sekretarzowi Podstawa-
wej Organizacji Partyjnej. Jak się
później okazało — kierował się on
podseptami brata Tomaszewicza —
Antoniego który żył z Janem Toma-
szewiczem w ciągłej kłótni.

Tomaszewicz po „operacji” przy-
musowego omłotu nie wywiązał się
z dostawy zakontraktowanych 3
świń, a na wiosnę 1951 r. stracił
dwa konie, które padły z braku
tręświej paszy. A zatem powstały
szkody zarówno natury politycznej
jak i ekonomicznej.

Tomaszewiczowi padły z wycień-
czenia konie, ale za to polityczne
przewidywały we wsi wypado-
z rak Nowakowskiego. Kto tutaj po-
noś większą klęskę?

CO PISZE JÓZEF STALIN?

W referacie Stalina o wynikach
prac XIV Konferencji RKP(b) w
rozdziale „Polityka partii na wsi”
czytamy:

„Główna rzecz polega teraz na
tym, żeby skupić średniaków wo-
kół proletariatu, zdobyć ich pono-
wnie. Główna rzecz polega teraz
na tym, żeby powiązać się z pod-
stawową masą chłopstwa, podnieść
jej poziom materialny i kulturalny
i ruszyć naprzód razem z tą pod-
stawową masą po drodze do socja-
lizmu. (...) budować socjalizm razem
z chłopstwem, konieczne razem z
chłopstwem i konieczne pod kie-
rownictwem klasy robotniczej. W
związku z tym stoją przed nami
dwa podstawowe zadania na wsi:

1) dopiąć tego by gospodarstwo
chłopskie zostało włączone do ogól-
nego systemu radzieckiego rozwoju
gospodarczego (...) poprzez spółdziel-
czość,

2) stopniowo ale stale przepro-
wadzać linię likwidowania daw-
nych metod administrowania i kie-
rownictwa na wsi, linię ożywienia
Rad, linię przekształcenia Rad w
prawdziwie wybieralne organy, linię
krzewienia na wsi zasad demokra-
cji radzieckiej”.

A dalej:

„Niezbędne jest, żeby komuniści
na wsi wyrzekli się wypaczonych
form administrowania. Kieruje ten,
kto ożywia Rady i tworzy aktyw
chłopski wokół partii na wsi”.
(Tom VII, str. 128, 129, 131, 132).

ANALIZA FAKTÓW

Jak w świetle referatu Stalina
wygląda sprawa Tomaszewicza z r.
1950? Jakie stanowisko powinien
być zająć Nowakowski?

Załatwienie sprawy Tomaszewi-
cza było zaprzeczeniem „krzewie-
nia zasad demokracji radzieckiej
na wsi”. Powiększony wymiar pla-
nu zboża, a następnie przymusowy
omłot, to „wypaczona forma admi-
nistracyjna”. Wymiar był najwyż-
szy we wsi. Trójka gromadzka po-
mimo milczenia protest chłopów,
nie zreferowała sprawy w GRN, a
ta z kolei nie potrdziła się prze-
prowadzić kontroli i wydała nakaz
omłotu bez wystuchania zaintereso-
wanego rolnika.

Czynnik politycznego samorządu,
jakim jest Rada Narodowa na te-
renie gminy nie spełnił roli czyn-
nika krzewienia zasad demokracji,
nie wciągnął średniaka w orbitę
swojej działalności, by razem z nim
iść po drodze do socjalizmu, cho-
ciaż ten średniak od tego się nie
uchylał. Wybrano do załatwienia
sprawy drogę najtwardszą, a dla
socjalizmu szkodliwą.

Przedstawiciel GRN Drzyzga Jan
powinien był wstrzymać się z wyko-
naniem przymusowego omłotu i
wpłynąć na Nowakowskiego, aby
sprawę Tomaszewicza rozpatrzyć
na posiedzeniu Prezydium Rady,
poddając wymiar ponownemu rozwa-
żeniu i wysłuchając głosu chłopów.
W ten sposób Tomaszewicz, by odczuł,
że istnieje praworządność i władza
ludowa, jego władza.

A już w żadnym wypadku No-
wakowski nie powinien był wy-
wieść z sklepie spółdzielczym
plakatu z zakazem sprzedawania
Tomaszewiczowi artykułów pierw-
szej potrzeby jako wrogowi Pań-
stwa Ludowego. Tomaszewicz śred-

niak, „wyczekuje” ale — jak pisze
w innym miejscu Stalin — „po to
jest średniakiem żeby wyczeki-
wać”. Rzeczą partii i organów
władzy ludowej jest wyzwoleń go
z wyczekiwania i skłonić go do
wspólnego marszu z klasą robotni-
czą.

Tomaszewicz został pokrzywdzo-
ny materialnie. Klęska organizacji
partyjnej na wsi była większa. Nie
łatwo było odzyskać zaufanie gro-
mady i raz utraconego kierownict-
wa. Klęska była tym poważniejsza,
że Nowakowski nie potrafił
„stworzyć aktywny chłopiejski wo-
kół partii” i ożywić Gm. Rady Na-
rodowej, co — jak pisze Stalin —
jest warunkiem kierownictwa. Po-
stępowanie w sprawie Tomaszewi-
cza nie jest zgodne z tezą Stalina
„żeby powiązać się z podstawową
masą chłopską, podnieść jej poziom
materialny i kulturalny i ruszyć
naprzód z tą podstawową masą po
drodę do socjalizmu”. Podstawa-
wą masę chłopstwa w Kopańcu
stanowią średniacy. Organizacja
partyjna w Kopańcu zapominała o
tej tezie Stalina i nie wypełniła
swojej kierowniczej roli.

Ładki czujności, wższych in-
stancji partyjnych sprawa wypły-
nęła jednak na wierzch i została
sumiennie badana. Nowakowski
wraz z przedstawicielem GRN
Drzyzgą Janem i sołtysem Kopyt-
ko Wacławem został pociągnięty do
odpowiedzialności karnej.

WNIOSKI

Kiedy Stalin pisał swoje tezy
„Polityka partii na wsi” — Zwią-
zek Radziecki wchodził w okres
socjalistycznego budownictwa, a
więc znajdował się w podobnej
jak my od trzech lat sytuacji. To-
czyła się walka o pozyskanie dla
tego budownictwa chłopów średnia-
ka, bez którego przebudowa ekono-
miczna i polityczna wsi nie jest
możliwa. Walka ta w Związku Ra-
dzieckim została wygrana dzięki
strategii, której zasady opracował
Wielki Wódz światowego proletari-
atu. Jego pisma stanowią niewy-
čerpaną skarbnicę wskazówek nie
tylko w skali ogólnonarodowej, ale
i w codziennej praktyce, w pracy
na codzień, w akcjach skupu, w
kontraktach i przy organizowa-
niu spółdzielni produkcyjnych.
Trzeba je nie tylko czytać, ale pil-
nie analizować w praktyce, kon-
frontować z naszą pracą, wyciągać
nauki z fałszywych kroków i po-
pełnionych błędów.

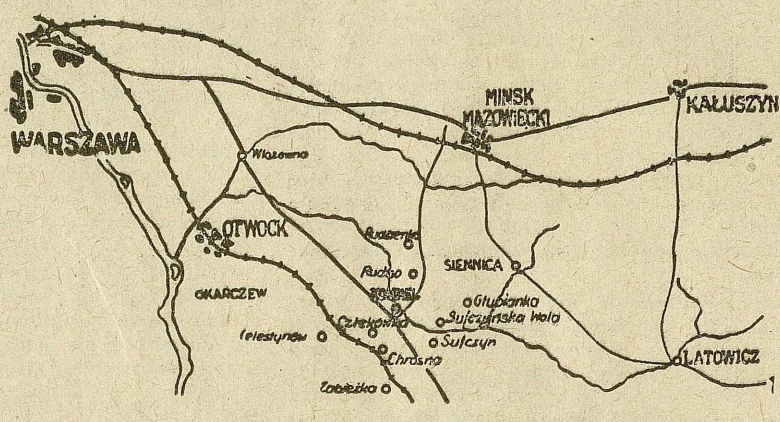
W Kopańcu organizacja partyjna
przeprowadziła krytykę i wycią-
gała wnioski z własnych błędów.

Usunęła z kierownictwa nieodpo-
wiednich ludzi. Opierała się na akty-
wistach gromadzkich, którzy umieją
każdą sprawę rozpatrzyć w perspek-
tywie zadań do jakich powołana zo-
stała na wsi Podstawowa Organi-
zacja Partyjna, a nie z punktu widze-
nia osobistych porachunków z sąsia-
dami. Żywiej interesuje się życiem
i potrzebami gromady oraz warunki-
mi gospodarczymi chłopów. Potrafi
rozmawiać z ludźmi, przekonywać ich
i zawsze udziela pomocy. Do lamu-
sa przeżytków odłożone zostały me-
tody, którymi posługiwał się Kopyt-
ko Wacław i Nowakowski Marian
Zresztą ludzi tych już nie ma w Ko-
pańcu. Dopieła tego, że gospodarstwa
chłopskie zostały włączone do ogól-
nego systemu socjalistycznego rozwoju
gospodarczego przez zorganizowanie
spółdzielni produkcyjnej. Zgodnie
ze wskazaniami Stalina pozyskała
silny aktyw chłopski przez co uzy-
skała więz z masami. Przez ściślejsze
powiązanie się z Komitetem Powia-
towym P.Z.P.R. w Jeleniej Górze u-
zyskała silniejszą pozycję organiza-
cyjną. Przez to samo stała się ona
w Kopańcu rzeczywistym kierowni-
kiem politycznym gromady, zdoby-
wając z powrotem redutę utraconą
przez Nowakowskiego i Kopytkę.
„Samokrytyka jest oznaką siły, a
nie słabości naszej partii” — mówi
Stalin. —Tylko silna partia, tkwiąca
korzeniami w życiu i krocząca ku
zyciestwu może sobie pozwolić na
tak nieubłaganą krytykę swoich
własnych niedociągnięć”. Partia
zwyciężyła w Kopańcu na całej li-
nii. Osiągnęła przede wszystkim to,
co Stalin w okresie początkowym bu-
downictwa socjalistycznego na wsi
uważa za „ręcz główną”: „skupia
średniaków wokół proletariatu i ru-
szyła naprzód z tą podstawową ma-
są chłopstwa do socjalizmu”.

Studiowanie pism Stalina jest o-
bowiązkiem każdego działacza nawet
na najniższym szczeblu organizacji
politycznej i społecznej. Niech staną
się one drogowskazami w przebu-
dowie naszej wsi. Unikniony wtedy
błędów, nasze budownictwo socja-
listyczne postępować będzie szybciej
i sprawniej.

Teofil Kowalczyk

Zawładamy wszystkich
ornamentach naszego pla-
na, że poruszamy od in-
cena br. w tedy porowe
raz. Niezależnie od tego
przynajmniej w polityce
numeratę w terminie do dnia
15-go każdego miesiąca na
miesiąc następny i okres



TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

TWÓJ NAJPIĘKNIEJSZY PASIAK

Ty mnie, Jeruzal i ty, Gliniak
I ty Kolbieli słynna z przęślic
I ty, Florencjo — nie obwiniaj,
Żem tu za dosyć nie podkreślił
Barw twej tkaniny w dniach ucisku,

Boś miała inne, żywsze barwy,
I z nich utknałaś szlak wzorzysty,
Piękniejszy od twych łąk w dni czerwca.
Nie wytrawili, nie zatarli —
Carat, sanacja i faszyci —
Tych mocnych barw ludzkiego serca.

Bo spójrz na mapę: Mińsk i wioski,
Wszędzie znajome stare kąty.
Teren rzeźbiony słabo, płaski...
To tę uliczkę Kazikowski
Szczereńwił krwią w dziewięćset piątym,
To tu przedmieście buntu — Piaski.

Patrz dalej. Oto ostra zielen
Zaraniarskiego Ludwinowa,
Gdzie wybuchł słynny strajk trzech wiosek;
Gdzie stała na młodzieży czele
Wiciarka, dziewczę-kwiat — Jurkowa,
W czas wojny — żołnierz, dzisiaj — poseł.

Oto zielona Józefina.
Tu stara Józefowa Gniatko,
Jak ty, z rosyjskiej książki, matko,
Gdy zandarmeria obstawiała
Wieś — a nie stało przy niej syna —
Sztandar SL-u ocalała.

Tu bliżej kępy strzech Chmielewa —
Wieś przyśrołwarsza kapepowska —
Gdzie wszystkie chaty, rzeczy — drzewa,
Lasem się stały, gdy padł rozkaz
Z AL i cicha wieś za torem
Z Wehrmachtem toczy bój i dworem.

A nie wylizę, nie wymienię
Wszystkich, choć wspomnę leśną Mienię,
Z obław policyj słynną, wskazę
Stojadła, gdzie w fabryce noży
Strajk Fogelnesta niegdyś trwał
Jak kiedy grom zaświeci w twarze.

— Tak czerwień i soczysta zielen —
Barwa klasowych ruchów bratnich —
Tworzy twój pasiak najpiękniejszy,
Ziemio dzieciństwa, coś w popiele
Witała wolność i w ostatni
Bój wkraczasz śmiało w Dniu Dzisiejszym.

Wichurą młotów w „Pepeerce”.
(Fabryka mostów — dawny „Rudzik”),
Kosiarką w Rudnie już spółdzielczym —
Walczysz dziś, Ziemio, gdzie me serce,
O żniwo piękna, tęsknot ludzkich,
Których wyrazem są i tęczę
Tych dawnych krosien...

MIROSLAWA LOJEWSKA i IRENA SCHEUR

W KREGU PAWLÓWIC... W KREGU SZKOŁY ŚWIE TLICOWEJ

GMINNA Rada Narodowa mieści się w Sędziszowie — małym miasteczku kieleckim. Wyniosły kościół, kilka odrapanych domków, kilka chałup pochylonych ku ziemi.

— Jest u was kulturalno-oświatowy kierownik?

— Właściwie nie ma, chociaż jeden taki młodziak, dopiero co przybył, ale jeszcze się w terenie nie orientuje. Poprzednik nie znał się na kulturze, przeniesliśmy go do wydziału wojskowego.

— A ten, co jest, skąd się wziął?

— Ze szkoły zawodowej w Sędziszowie.

— A wychowankowie z Pawłowic?

— No, są — jeden w POM-ie, drugi w GS-ie, obaj w biurowości. Brzmi to wszystko nieprawdopodobnie. Wychowankowie — szkoły świetlicowej w Pawłowicach nie przy swojej robocie? Jakże to?

Pytamy o świetlice gromadzkie. Ani jednej czynnej. Zespoły artystyczne? Ani jednego. Czytelnicze? — ta sama odpowiedź. Co się tu dzieje? Może nasi rozmówcy nie znają po prostu terenu?

Do widzenia, panowie! Biurokraci idziemy do Pawłowic, na wies!

X

A oto i wieś malowniczo rozłożona na wzgórkach. Już z dala widać kremowy, dawny pański dwór. Ziemię tu na ogół dobre, przeważa zdecydowanie III klasa, trafia się dobra rzędzina, trafia i liche gatunki bielej. Mimo tego powiat jedrzejski nie należał w latach przedwojennych do bogatych. Jakże tu nie wspomnieć dramatycznych w swej wymowie cyfr: na każde 100 ha ziemi ornej przypadało 323 chłopów, podczas gdy 43 rodzin obszarńskich posiadało 20.228 ha! Straszliwy w tych stronach głód ziemi rozładowała z jednej strony reforma rolna, z drugiej szybko postępujące uprzemysłowienie.

W gminie Sędziszów przeważają wyraźnie średniacy. Dwa największe gospodarstwa liczą 12 i 14 ha, reszta waha się od 4 — 8 ha. Chłopi uprawiają żyto i pszenicę, z roślin przemysłowych głównie burak, ale nie brak też lnu, rzepaku i rzepiku. Duże dochody czerpią z uprawy tytoniu. Tradycje hodowlane rozwinięły się niedawno, dopiero w roku 1950. Dotąd 1 — 2 wni na gospodarstwo stanowiły przeciętną, obecnie — 5 świń. Gorzej z hodowlą krów i mlekiem. Gmina nie posiada łak, paszy stałe brakuje. 45 proc. wykonania planu dostaw mleka ma swoją wymowę. Zboże odstawił chłop w 90 proc., żywiec w ponad 70-ciu, lecz ziemniaki tylko w 31 procentach. Tak to się dzieje w skali całej gminy, choć nie brak oczywiście gromad produkujących, jak Lipie czy Półkonia. Same Pawłowice zbliżają się też do produkujących gromad.

Problem narzuca się z miejsca. W zakresie upraw pracochłonnych stoją chłop gorzej. Nie zdolił poradzić sobie z wykopkami kartofli (powtarzamy — gmina odstawiła je zaledwie w 31 procentach!) ten i ów opóźnił wykopki buraków. Dlaczego tak się stało?

Przeglądamy wykaz pracujących poza rolnictwem w gromadzie Sędziszów. Na 380 gospodarstw tylko 4 nie zatrudniają członków rodziny

w przemyśle. W gminie mieszka 6.239 ludzi, ale z tego w dużych warsztatach kolejowych w Sędziszowie pracuje około 1000 ludzi, do Kielc, Chęcin, Jedrzejowa i Wodzisławia jeździ codziennie do pracy prawie 3000 młodych. Stąd brak rąk do pracy na roli, groźny zwłaszcza wtedy, gdy źle funkcjonuje pomoc sąsiedzka. POM i GOM-y. A w sędziszowskiej gminie nie najlepiej z tymi sprawami.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w

1950.

WOJCIECH DRYGAS

JEDEN ŚREDNIAK SPOD ŁOWICZA, DRUGI SPOD WIELUNIA

POCZĄTKOWO nie nie zważało, że chłop, który mnie otaczał i wierzył w ziemię, lub dobrą, szczęśliwą lub nieszczęśliwą, zapamiętała stokród więcej, niż tylko piękno krajobrazu Ziemi Wałbrzyskiej, oglądanej z wysokości piastowskiej warowni na Książu.

Poznaaliśmy się z sobą z pewnym trudem, jeśli wziąć pod uwagę okoliczność, że w wielu z nich pozostał trujący jad propagandy kulackiej. Postanowiłem więc ograniczyć się chwilowo do pobieżnych obserwacji i nie wbiegać za bardzo w przód. Wystrzegając się teraz pytań, pamiętając, że i tak nie minie minie chwila, kiedy zapytam: „I co wy teraz na to?” — i że ta chwila zdecydowanie o wszystkim.

Było ich siedemdziesięciu pięciu z powiatów: Łowicz, Sieradz, Wieluń.

Pod koniec pierwszego dnia wycieczki widziałem już coś więcej aniżeli tylko rozmaite twarze ludzkie z krótkimi czy długimi nosami, z burymi czy niebieskimi oczami, z wąsami czy bez wąsów — z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie.

Pod koniec pierwszego dnia wycieczki widziałem już coś więcej aniżeli tylko rozmaite twarze ludzkie z krótkimi czy długimi nosami, z burymi czy niebieskimi oczami, z wąsami czy bez wąsów — z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie.

Pod koniec pierwszego dnia wycieczki widziałem już coś więcej aniżeli tylko rozmaite twarze ludzkie z krótkimi czy długimi nosami, z burymi czy niebieskimi oczami, z wąsami czy bez wąsów — z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie, z zaciekawieniem patrzyli na mnie.

Najpierw pojawiły się chłewne i obora. Trzy długie czworoboki opasane czerwonymi ścianami nowej cegły. Pośród nich podwórce, nasyczone „dostojstwem gospodarskiego ładu i dostatków. Znalazł w nim swój wyraz zdrowy rozsądek, podniesiony



bach, jakimi ciężką pracę fizyczną zastąpiono tutaj prostym urządzeniem dźwigowym do przenoszenia kosów z paszą dla bydła lub wyciągami obrotowymi, które same wywołują obroty i nakładają na wozy parujące obornik. Mechanizmem kieruje dłoń kobieca.

Nigdy nie zapomnę tego zadyszanego pedu, tej żarliwej gonitwy poszukiwań, która towarzyszyła chłopom przy zwiedzaniu spółdzielczego obejścia. Oto długie zamyślenie kobiety z Wieluńskiego nad bokiem z maciorą-olbrzymką, ssaną przez 6 zdrowych prosiąt. Oto milczący zachwyt chłopów spod Łowicza, którym nie uszło uwagi krzepkość rasowa cieląt z zimnego chowu. Opodal znowu mieszana grupa wycieczkowiczów pochyla głowę nad wykazem dziennych udojów. Przeciętna wydajność od sztuki 22 litry mleka. Można długo wyciągać szyję, liczyć litr po litrze i nie nie rozumieć. Dwadzieścia dwa litry? Toteż pomimo milczenia nierozwiązanych jeszcze języków, mimo pozornego spokoju — panował tutaj dramat.

Przeciskając się śród ciżby w wąskich przejściach między stanowiskami dla zwierząt i ja szukałem racji dla swojej „teorii różnicowań”. Tropiłem więc za rozmowami średniaków ze spółdzielcami. Wreszcie ujrzałem zielony płaszcz z kunim ko-

niem Bronisława Pazi, a raczej jego długie ręce rozkołysane jak cepy w żarliwej gestykulacji. Rozmawiał z barczystym wścawcem Franciszkiem Woźniakiem — przewodniczącym spółdzielni. Podałem mu się ku niemu bliżej. Pazi przeciął powietrze dłoń i powiedział:

— Nie przemawiam za tym ani przeciwko temu. Ale my w Łowickim opieramy się na czymś innym. Wicie co to jest? Wybór najdzielniejszych gospodarzy! Wybór wybitnych! Jakżebyśmy się mogli wybić, gdyby nie było tych, nad którymi moglibyśmy się wybić? Dzięki Bogu, tacy u nas są. Można się wybić nad nich. I to się nazywa zahartowanie. A jak wam się zdaje, ile kosztuje należyte zahartowanie? Nie ma się go przecież z natury, trzeba za nie zapłacić. Człowiek nie rodzi się przecież rentowny od samego początku. Gospodarstwo tak...

Przewodniczący pociągnął nosem: — No tak... — zamyślił się — zahartowanie... U nas to się nazywa **współwzrostem**. Ale nie wybił się dlatego, że są od nas słabsi, lecz po to, aby wyrównać siły z mocniejszymi. Słabszych wyciągamy za uszy do naszego poziomu, ułatwiamy im pracę, no i w ogóle... Osiągnięcia pewne już są...

— Macie na myśli te socjalne, czy jak im tam? Ale dom kultury to i my mamy. Może nie taki duży, ale jednak mamy. Przedszkole można by i u nas urządzić. Są przecież budynki, nikt z nich nie korzysta. A radiowęzeł? Kino? — poskrobał się za uchem i zaraz znalazł odpowiedź: — I my, na indywidualnym doświadczeniu się tego. Trza tylko cierpliwie czekać. Za to, co pod względem gospodarki, nie powiem, podoba mi się tutaj, ale coś mi się zdaje, że nas nie bijecie. Zresztą sprawdzimy. Ja wszystko sprawdzam z ołówkiem, wedle tego przysłowia co to mówi: „Nie wierz gębie, aż położysz na zębie!”

— Ano liczymy w takim razie... — Woźniak podał Paziowi cwiartkę papieru. Pazi wyjął z kieszeni ołówek. Ten zamożny średniak był oblatany w ekonomii cyfr jak mało kto. Znał w nim było człowieka, który potrafił pożądać konkretnych dóbr materialnych. Z wyliczeń Pazi wynikało, że w rodzinnej wsi — w Bolimowie, wypadła przeciętnie na gospodarstwo po 5 tuczników oraz 3 krowy. Wiesz zamożna, ziemia pierwsza i drugiej klasy. Średnia wydajność z hektara w uprawie pszenicy 20 q, żyta 16,5 q, jęczmienia 18 q, owsa 22 q, a więc

wyższa od przeciętnej w pow. łowickim o dobre 2—3 q. Pomógł im siew rzędowy, racjonalna gospodarka obojkiem, dobrze wykonana orka. Takim to trudno czymkolwiek zaimponować.

Po drugiej stronie rachunku stały w zwartym ordynku — bojowymi kolumnkami — cyfry gospodarki spółdzielczej w Szczawienku: 227 sztuk trzody chlewnej (140 tuczników dostarczyli we wrześniu i październiku państwu), 105 sztuk bydła. Hektar odrzucił im w tym roku: 23 q pszenicy, 16 q żyta, 18 q jęczmienia, 26 q owsa.

— Policzmy na przykład leś — zaproponował Pazi. — Ilu macie członków?

— Czterdziestu trzech!

Pochylił się nad rachunkami, dzielił, mnożył, dodawał... Woźniak nie mówił wiele, raczej potakiwał. Wreszcie Pazi wyprostował swą postać w prostopadłą linię dostojności i wyższości. Wyliczył nie mniej nie więcej, jeno po 5 tuczników i 2,5 krowy na głowę poszczególnego członka spółdzielni.

— Ot, co! — zawyrokował triumfalnie. — Bijemy was w hodowli o jedną świnie i pół krowy. To znaczy, że my bardziej **towarowi**? — błysnął zębami. — Ze średniacy górą? He?

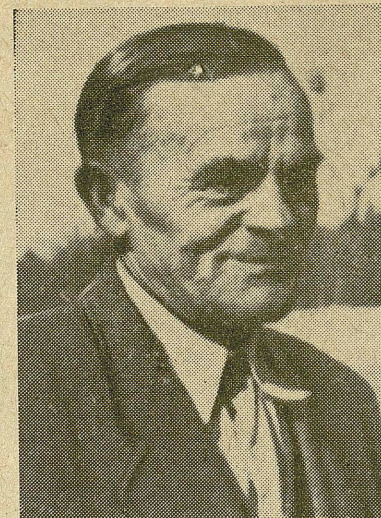
— Któż to właściwie jest ten średniak zapatrzonej w ideal kulaka? Oto — przypomniałem sobie — mam przed sobą chłopą gospodarującego w jednym z najbogatszych powiatów w Polsce — w Łowickim. Powiat leżący w zasięgu dwóch wielkich rynków zbytu.

Na oficjalny rynek Pazi pojedzie do Łodzi, czarny rynek nęci w Warszawie. Taka jest właśnie kalkulacja Paziów łowickich, którzy przed wojną trzęsli związkami plantatorów buraka cukrowego, grali w wielkim szczęściem na giełdzie, paradowali w zielonych melonikach „bractwa kurkowego”. Najpiękniejsze konie wyprawiali swą rodowód z Łowickiego. Najlepsze interesy robiło się na tegowych pasiakach, chętnie nabynych jako curiosum przez zagranicę.

Naraz, gdy chciałem wpaść w tę dramatyczną pauzę coś banalnego — Woźniak ni stąd ni zowąd poderwał się do generalnego szturmu!

— Czeka!... czeka!... — zachichotał. — Nie wierz gębie, boś nie wszystko jeszcze położysz na zębie. Szczere mówię nie wiem jak przetrwasz, kiedy ci powiem, że całkiem zapomnieli o działkach przyzgod-

wych. Dołóż więc jeszcze po cztery tuczniki na każdego z nas, aby było równo po dziewięć na chłopą i po dwie krowy z przychowkiem, aby było po pięć. Teraz rachunek pełny. Lecz żebyś nie miał żadnych złudzeń, to w kancelarii pokażę ci jeszcze kwity z wykonanej dostawy 250 prosiąt hodowlanych. Tych prosiąt nie licylem. Znajdziesz je w innej, nowoorganizowanej spółdzielni. Bo nie trza się za wszelką cenę wybić nad innych, lecz za wszelką cenę pomagać słabszym...



Średniak Pazi zniechęcony. Był skłonny mówić nawet rzeczy nietrafne, byle dłużej móc utrzymać się na pozycji wielkiego gracza. A jednak nie dawał rady.

Co rozłożył skrzydła do lotu, to mu je Nowak podciął.

— Jaka jest u was klasa ziemi?

Pazi się zawahał:

— Mówiłem przecież. Pierwsza i druga... Drugiej jest więcej — dodał z przekonywującą żarliwością.

Znowu chichot i ostatni pocisk wielkiego kalibru.

— A u nas, w spółdzielni, trzecia i czwarta. Kiepska ta ziemia. Ale w zespole i na ugorze upieczesz chleb.

Zaraz, zaraz... — rozpedził się Pazi. — My polajemy pastwisko, a żerowiska dla krów pokwaterujemy. Wydzielę także osobno na buraki i pobuduję się szeroko jak wy, to jeszcze się w Polsce taki nie narodził, co by nas poblił.

Nowak popatrzył na niego z niejakim zdziwieniem. Jego trąfanie w sedno rzeczy i odbieranie niedopowiedzeń, miałyby rys brutalny gdyby nie tkwiący u podłoża dowcip.

— Możliwe, możliwe, że w ten sposób nas pobijecie na I i II klasie ziemi. Ale wtedy będziecie już w spółdzielni. Tam ją zaprowadzicie w ten planie!

Pazi wytrzeszczył oczy. Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. Miał kłopoty.

..

Szukał przez chwilę przysłowiowej krzyz podobieństwa, po czym oświadczył, że nie warto, bo to co widzi i tak przechodzi jego najsmielsze oczekiwania. Jakież może być podobieństwo między tym co widzi, a tym co ma w swym średniackim gospodarstwie! Żadne — niebo a ziemia!

Spojrzał przełotnie w szerokie okno owczarni, w które dobiegały się ze zmierzchem łapy drzew. Potem dokończył spokojnie:

— Czy wiecie, co powiedzielibyście, gdyby uważali w ogóle za wartość trudności o tej sprawie? Powiedzieliby: porwa się z motyką na słońce! Co to znaczy, gdy jeden porwa się, a stu zostaje! To jeszcze nie stwarza nic mocnego. Nic konkretnego! Ba, gdyby porwał się tych stu. Ale oni będą czekać. I ja muszę czekać. My nie mamy warunków. Żyje się przecież nie z tego, że się czegoś chce, ale z tego, że się coś posiada. A my posiadamy mało, bardzo mało...

Co innego wy: budynki okazałe, maszyn sporo — jest podstawa. Słyszcie już wasz zarzut, że i wy mieliście trudności... nie, nie chcę kończyć tej myśli. U nas te trudności byłyby zbyt kosztowne...

Przysłuchując się tej rozmowie omal nie klasnąłem w dłoń. A więc u kresu naszej wycieczki znalazłem jednak drugi typ średniaka, który, chociaż wystawia się znakomicie, w przeciwnieństwie do Pazi nie **doпуска do siebie pragnień**, jest mniej obyty, mniej zorientowany, a przy tym pełen niewiary we własne siły.

Nazywa się — jeśli nazwisko odgrywa w tej sprawie w ogóle jakąś rolę — Franciszek Dalek. Właśnie jest jednak to, na jakim gruncie wyrosła jego swoista filozofia życia. Biorę do ręki listę imienną wycieczkowiczów i sprawdzam: gromada Krzyż, pow. wieluński. A więc powiat wieluński? Nie biedny, lecz i nie bogaty to powiat! Zboże sypie tam 15 q z hektara, w obórkach nieraz po 5 tuczników i 2 krowy, częściej jednak o połowę mniej. Możliwość? Wszędzie istnieją możliwości, gdy nowoczesne zabiegi agrotechniczne stają się nawykami, rozumianą potrzebą. Tutaj chłop nie odkrył jeszcze od starych sposobów gospodarowania. Dopiero w tym roku agronomowie państwowej służby rolnej wygrali bitwę o powszechne stosowanie siewników rzędowych. Dopiero w roku bieżącym większość chłopów po raz pierwszy rzuciła w ziemię kwalifikowane ziarno siewne. Granulowany nawóz, siew krzyżowy, aklimatyzacja roślin przemysłowych — to

abakadabra, która miejscowym rolnikom uciążliwa się jeszcze z pojęciem „bujania w obłokach”.

Lecz powracając do Dalki. W Szczawienku patrzył na gospodarkę zespolałową niemy, ponury, markotny. Obecnie w Kamieniu — drugiej z kolei zwiedzanej przez nas spółdzielni produkcyjnej — rosło w nim zniecierpliwienie, rósł niepokój... Jestem przekonany, że szukał słów, którymi chciał uzewnętrznić swój żal, całą tę wieluńską markotność. Ten moment nastąpił właśnie teraz, w przypadkowym spotkaniu z młodą z jego rodzinnych stron — ówczesną Józefą Pieprzyką.

Osiadłe, z którego Pieprzyk przeniósł się trzy lata temu na Ziemię Zachodnią, było zagubione we wzgórzach Szubienicznej — dziwnym, podwyższonym, oczekującym z moczarów miejscu na oparzeliskach — daleko od dróg głównych, od jakichkolwiek dróg dobrych. Stąd wydostać się do szosy łączącej Wieluń z Łodzią było naprawdę trudno. Wówczas, nie tłumacząc nikomu po co jedzie, zabrał ze sobą żonę, dzieci i jedyną krowę, mały węzelek z żywnością, mydło i ręcznik i postanowił dotrzeć do spółdzielni produkcyjnej w Kamieńsku, skąd wzywał go w zachwyconych listach jego kuzyn. Pozostał więc w Szubienicznej, w ciągu jednej godziny, 5 hektarów jałowej ziemi, kawałek kwaśnej łąki i chałupę dość obszerną, lecz stoczoną od fundamentów do gontów przez kornikazłodziejów. „Zamieniasz, lotrze, własność na niewolę!” — płakała żona. Teraz, opowiadając Dalkowi koleje swego życia, Pieprzykowi stwierdziła po prostu:

— Są takie miejsca, w których się żyje, i takie, w których się istnieje. W Szubienicznej myślni istnieć, urodzenia, ale nie żyć. Spójrz na nas, teraz żyjemy pełną pierśią. Zamieniliśmy niewolę na własność!

— To prawda — potakiwał Pieprzyk. — Lecz wtedy byłem przekonany, że aby żyć, **trza uciekać. Szukałem gotowego**. Dzisiaj rozumiem to inaczej. Można było jednak pozostać i tworzyć życie tam, na uroczyskach, choć w pocie czoła, choć w trudzie... zamyślił się i zaraz dokończył: — w zespole, rzecz jasna, bo w pojedynkę... ech, bracie, ty nawet nie wiesz co daje członkowi spółdzielni. To co dawniej zdawało mi się niemożliwe — w spółdzielni jest zwykłe jak amen w pacierzu!

Gładząc szeroką dłoń welnistą grzbietem jagnięcia, przytulonego w poczuć bezpieczeństwa do jego kolan, Dalek odparł:

— U nas w powiecie jest mało spółdzielni. Można je policzyć na palcach obu rąk. Nie, nie dlatego żeby ludzie nie chcieli. Żeby całkiem odstępnęli się od tej myśli. Nie! Ale, powiedz mi, skąd wziąć na to środki? Pieniądze? Z czego mamy budować? Z powietrza?

Pieprzyk kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Trzy lata temu mówiłem akurat tak samo. A jednak są u was spółdzielnie? Byłeś w której? — spytał zaczepnie.

Dalek zacerwienił się po białka oczu.

— Iii... nie, nie byłem... Po co miałem być?

— Po co? Zanim nie rozkopiesz ziemi, nie zobaczysz, czy drzewa mają korzenie. A ty mówisz po co? Coż to znaczy „po co”? A ja, widzisz, byłem. W zeszłym roku byłem. A wiesz gdzie? W Szubienicznej! Dostałem się tam piękną szosą, autobusem. Szukałem bliskich memu sercu moczarów — zastanawiałem się, jak, całkiem zdrenowane, z taką trawą... po sam pas. A na tych łąkach krowy. Spółdzielczo krowy. Tak to widzisz zmienia się życie, zmienia się krajobraz... A ty mówisz „po co?”

— Ech... — machnął ręką Dalek. — Już nie nie rozumiem. Od samego początku nie nie rozumiem...

Z pełną rezygnacją opuścił owczarnię, doganiając spiesznymi krokami swoją grupę, która wysorowała się do przodu. Pospieszylem za nim. W pewnym momencie dotknąłem jego ramienia.

— I coż wy na to, obywału?

Dalek spojrzał mi prosto w oczy. Zrobiło mi się przykro. W tych oczach były łzy. Od wiatru mroźnego? Od wielkiego żalu?

..

W drodze powrotnej do Łodzi, wsunął się pośród nocy do mego przedziału Franciszek Dalek i oświadczył prosto z mostu:

— Ludzie mówią, że wy pisiecie w gazetach. Znaczący się z ortografią nie macie ambarasu. Myślny tu coś napisał, wyglądacie to — położymy im o wszystkim coś u was widzieli. Jesteśmy przekonani, drodzy bracia spółdzielcy że już wkrótce będziemy mogli wam donieść o założeniu w naszej gromadzie spółdzielni produkcyjnej!

Tak zakończyła się sprawa Franciszka Dalki i jego dziesięciu sąsiadów. A może lepiej powiedzieć: rozpoczęła się? Przede mną teraz gromada Krzyż. Tam się rozegra druga część mego reportażu. A trzecia — jeśli czytelnicy będą sobie życzyli — w Bolimowie u „grubej” Pazi.

Wojciech Drygas

JÓZEF OZGA-MICHAŁSKI

POD ROSTOWEM

ZIELONA niziną uderza swoim rozkwitem w oczy. Ziemię przecinają żyły kanałów nabrzmiałe od mnogich wód, spęczniałe od deszczu.

I chociaż dzisiaj jest upalna, słoneczna pogoda, wczorajsza ulewa nie spłynęła do morza, lecz po polu. Okryła się one bawelną, a ludzie płótnem.

Mijamy chłopskie chaty, kozackie kurenie ze szczytami malowanymi na siwo-ciemny kolor, z białozielonymi okiennicami.

Ileż wieków czekano tu na tę sieć złociodajnych strumieni!

Ile pieśni o Ojcu-Donie, zwilżającym stopową krawężnik wycieczki chłopskie gardła.

Coby powiedział stary diad, siedzący dziś na przybzie, gdyby przed trzydziestu laty powiedział mu. — Będziesz z tego miejsca okrutem jeździł do Moskwy, samolotem chwał będziesz piewał, a elektryka pszenicę będziesz młócił...

W jednym przedziale z naszymi siedzą chłopci, którzy wrócili z Krasnodaru i tutaj pod Rostowem połączyli się dwie nasze grupy wycieczkowe.

— „Baran!” — unosi się czysty głos w kłębach dymu — mówię wam baran jak ciebie! Sto dwadzieścia kilo wagi, dwadzieścia pięć kilo węgla daje rocznie, wychodzi, że siedmiu ludzi może se uszyć stu procentowe ubrania...

— Niemożliwe — zaprzeczył ktoś z naszej grupy — takich baranów być nie może...

Ale wtedy podniosła się wrzawa chłopskich głosów, tych co byli pod Krasnodarem i z takim przejęciem bronili baraniej węgla, jakby żoło nie o baranią, a o ich własną skórę...

— Tak... nie będzie mi tu wierzył... duża, miękka jak puch i mierzliwa koledzy...

Chłop, który nie mógł uwierzyć, kręcił się jak na rozżarzonych węglach, pot bił mu na czoło, ale słuchał chwiejnie, co mówiono.

— Masz tu fotografkę, przypatrz się... widzisz co za tegi rogacz. Mnie po pierś...

Delikwent chwycił łapczywie blyszczącą odbitkę i spojrzał na wspaniałą postać czworonożną. Teraz dopiero ułżyło mu nieco.

— Jemu trzeba obrazka, jak dziecku od księdza po kolezide, dopiero mu wiara wraca...

Audytorem buchnęło śmiechem, ale chłop nie obraził się ani na jote... patrzył uważnie na pienistą długą węglę, która równymi płatami okrywała zwierzę...

Na jego twarzy malowało się nieciekawe zdziwienie gospodarza, którego sąsiad tak dalece prześcignął, że ten nie może długo pojąć — jak

to się stało i dlaczego on pozostał w tyle.

— A mogę ja ten obrazek wziąć ze sobą? — rzeki po chwili, zastanawiając się, czy mu go dadzą. Ale wiedział, że jest mu niezbędny na drogę i dlatego postawił pytanie.

— Bierz bracie — rzeki główny dyskutant i zamasztył ruchem wsadził mu „barana” w kieszeń — „a po drodze opowiem ci jak oni je chowają... jakie żywienie i jaki rozkład...” — rozumiesz?

Chłop skinął głową, a rozmowa toczyła się dalej przetruciana co silniejszymi głosami z tematu na temat.

— A czyście widzieli taką rzecz, jak my na przykład widzieliśmy w pewnym kolchozie?

Wszyscy skierowali spojrzenia na zastygłą w tajemnym uśmiechu twarz delegata, który jeździł w krasnodarskiej stronie.

A on napinając cierpliwie naszych chłopów do ostatnich granic cedził powoli:

— Tam rozumiecie ludzie żyją nieźle... no wino dawali w takich drewnianych wysokich stągiewkach swojego wyrobu... próbowali my i z kożłego worka...

— Gadaj do rzeczy — huknął ktoś z naszych zniecierpliwiony — co to za nowa rzecz?

— Otóż — ciągnął mówca, rozkładając ramiona — w tym rzecz, żeby ją powoli rozwinać...

„Spotkaliśmy w jednym kolchozie staruszkę, który żyje w epoce komunizmu...”

— Jak to? — zapytało paru naraz.

— Jak? Zaraz powiem. — Pewnego dnia zeszli się kochożnicy na zebranie i powiadają... Oj, ten nasz Kuźma Michajłowicz stary jest... może umrzeć nie doczekać komunizmu, zrobmy tak: podejmijmy uchwałę, żeby on zasłużony staruszek korzystał z owoców pracy, według swoich potrzeb... stać nas na to — powiedzieli sobie i podjęli taką uchwałę...

Teraz ów najstarszy obywatel kolchozu pracuje ile potrafi, a korzysta według swojego uznania — przyjdzie do kooperatywy, weźmie co mu potrzeba, nie płaci... ze zboża, jarzyn, mleka to samo, będzie wedle swojej potrzeby — nie jest łapczywy, nie bierze w nadmiar, widząc otrzymał dobre wychowanie wpróżdził...

To krótkie opowiadanie, w którym zawarł się eksperyment chłopów z Krasnodarskiego kolchozu orzeźwiło nas jak powiew wiatru. Każdy czuł w tym zjawisku kielik nowego życia, które dopiero wschodzi, lecz daje o sobie znać i mówi, że zbliża się pora budowy komunizmu.

Pociąg nasz przetoczywszy się po moście przez szerokie wody Donu



Rys. Bimali Horska

wiejsza już do Rostowa, skąd owa technika i nauka promieniuje na całą okolicę.

Miasto zniszczone przez wroga, przechodzące parokroć z rąk do rąk, blyszące na wzgórzach białymi ścianami nowych domów, czerwienią dachówek i srebrnymi płatami blachy.

Na stacji tłoczno od pociągów. Urywane sygnały lokomotyw rozdzierają powietrze.

Widok na miasto przesłoniły nam zielone wagony, które zatrzymały się na wprost naszych okien.

Prawie z każdego wagonu dobiegały nas skoczne tony harmonii. To wczasowicze wracają z Kaukazu. Kilku z nich wysiadła w Rostowie. Zatrzymują wzrok na generale w białym mundurze.

Co za żywy człowiek! Zdażył już wypić narzaz, to jest wodę gaszącą na tym upale pragnienia. Zdażył pożegnać się z maszynistą, który salutował mu z parowozu i uśmiecha się zza kłębów pary, jak lotnik zza chmur — nikt już tego uśmiechu nie widzi. Zdażył nakreślić zegarek i ustawić go według czasu rostowskiego. Wreszcie znalazł się wśród naszych chłopów schodzących na peron i począł z nimi o czymś żywo rozprawiać.

Znowu wychodzi na wierzch stary bojowy szlak żołnierski — na Rzeszów, Mielec — aż do Stąpnic i Pucka.

General wypytuje nawet o wieś, w których kwatrował; Zwagrow, Nieskorza, Rytwian, Dobrow, Si-chów... — padają z jego ust znajome nazwy.

Małkowski z Sandomierskiego wysuwa się na czoło.

— Był tam — mówi do niego — sum obrazy w zalewie wiślanym. No ryba, pojmuje... wielka, ale chęć jej nie mogłim. Gospodarka, chłop wskazał nam miejsce... złapcie — powiada — przyda się

wojakom do rondla... ach, ile my głowy napuśli, aby ją złowić...

Wszyscy spojrzeli naraz na generala, jak na starego znajomego i wybuchnęli wesołym śmiechem a Małkowski wyciągnął do niego rękę...

— Tociem, ja wam tę rybę raik... poznajecie?

General nie wiedział, co oznacza to osobliwe spojrzenie słuchaczy, a potem nagły śmiech, ale, gdy u przytomnił sobie w swoim bogatym rejestrze twarzy oblicze Małkowskiego i usadowił go nad brzegiem zalewu, gdzie łowili razem sumą — sam parsknął niepowstrzymanym szczerym śmiechem, a my z ukontentowaniem zawtórowaliśmy mu jeszcze raz.

— A teraz my się spotkaliśmy nad brzegiem Donu. Może tutaj pójdziemy razem na sumę? Co?

Kto wie czy Małkowski nie miałby ochoty zaplować z wędką na donskie ryby, gdyby tylko istniały ku temu realne warunki, toż nie odpowiadając na żartobliwą propozycję generala postawił mu pytanie:

— A w naszym domu byliście jeszcze podpułkownikami...

— Suma nie złapałami, to prawda — śmiał się general — ale Hitlera chwyciliśmy w żelazne siły. Wymagało to i nauki i sztuki wojowania... Człowiek uczy się codziennie...

— Opowiem o Was żonie, jak wróć w Sandomierskie... Ucieszy się, żeście żyli i general...

— Pozdrówcie ją ode mnie, i sąsiadów pozdrówcie...

Myśli o radzieckim generale, towarzyszy nam przy zwiedzaniu bohaterskiego miasta i przywoływały na pamięć boje pod Sandomierzem, Stopnicą — na całej linii Wisły.

To jest również nasz general — dochoodził do końca do wniosku.

Józef Ozga-Michałski

LESŁAW BARTELSKI

SPOTKANIE NA MOŚCIE

S TALEM na moście, wsparty o balustradę i wpatrywałem się w płynącą poniżej rzekę. Ściemniło się, ostatnie promienie słońca błądząc po niebie zginęły gdzieś poza laskiem białym. Przeszedłem wolno na drugą stronę, korzystając z chwilowo pustej jezdni. Przytulone na przystanku statki przy nadbrzeżnym bulwarze oddalały się podziwianymi kształtami od spletnych kamieniami brzegów. Rzeka lśniła pasmami światła, wijąc się na wodzie jak węże polujące łuską. Zimna poręcz balustrady uciskała pierś, gdy przechyliłem głowę w dół. Od Wisły ciągnął chłodem i wiatr nasycał powietrze wilgocią. W oddali, na nikt nie zauważonych w ciemnościach wzniesionych nad rzeką przemykały pociągi, świecące chwiejnymi, gasnącymi szybko w odbiciu wody światłami.

Ktoś dotknął mego ramienia, raczej domyśliłem się niż poznałem głos, pytając leniwie — Wacek?

Ucieszył się ze spotkania — Dawno pan u nas nie był. Mieszkałem teraz na Mariensztacie, niedaleko stąd — pokierował moim wzrokiem ku bliskiemu oknu osiedla, usiłując wmówić we mnie, że odnajdę należące do ich mieszkania jakby wyróżniały się szczególnym blaskiem. — Ojciec by się ucieszył gdyby pana zobaczył. Wspominał nie tak dawno...

— A u ciebie co słychać? Nie odpowiadział w pierwszej chwili, potem jakby tłumacząc się, nadmienił o niechętności, że czeka tutaj na dziewczynę, z którą umówił się. Pokiwałem z wyrozumiałością głową. — Nie ma to jak być młodym...

— A pan też czeka tutaj na kogoś? — rozszerzył usta w szelmowskim uśmiechu.

— Nie. Mam trochę czasu, chodzę i patrzę. Spójrz — wyciągnąłem rękę w ciemność, kierując ją ku osiedlu. — Czy nie pięknie? Jeszcze dwa lata temu były tu ruiny i wiadukt Pancera straszny jak tułów padłego konia. A dziś? Wiosną kwitły tutaj na stokach żółte forsycje, zielone krzewy opięte drobnym ładnym kwiatem. Siła człowieka przemienia nawet gruz w piękno.

Spytałem jeszcze. — Nie mówisz mi nic o sobie. Pracujesz?

— Uczę się — powiedział poważnie, z dumą w głosie. — Uczę się wieczorami w szkole zawodowej. Na technika.

— Aa, to coś nowego. Nie wiedziałem o tym — poklepałem go przyjacielsko po ramieniu. Wacek Zieliński, syn znajomego mi od dawna murarza, był chłopcem spokojnym, nad wyraz poważnym, jak na swój wiek. Jego siwe oczy tliły marzeniem i zawsze wydawało się, że chłopiec myśli o wszystkim, tylko nie o tym, czym się zajmuję. Błądził myślami po świecie, który — jak każdy z nas — pragnął zdobyć. Ambicją jego było zostać technikiem, choć swoimi pragnieniami nie dzielił się z nikim, nieomal wstydzając się, jakby bał się, że ojciec i matka nie zrozumieją go. Pewnego wieczoru rozmowa zeszała na te tematy. Było to w sobotę, po wypłacie styku podejrzanie kłócił się o mieszkanie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Spytał syna. — No, co ty chcesz robić?

Wacek nie odpowiadał, nie wiedział o czego ojciec zmierza.

— No, co ty, co ty? — dopytywał się Zieliński, podkręcił wasy, co było niezawodną oznaką podenerwowania. — Jak tam u ciebie? — dopytywał się. — Wszystko w porządku! — odpowiedział Wacek i dał spokojny rozmowie. Ale stary znów powrócił do rozpoczętej rozmowy, gdy skończył czytać gazetę. — Jak tam, synu, pytam, co będziesz robił. Bo widzisz, o przyszłości warto nie raz, nie dwa pomyśleć. Młody jesteś, więc... — ojciec wysapał z trudem jakby zrzucając z siebie ciężar. — Na mój rozum tak wychodzi, że powinieś brać się ostro za swoje.

I ułknął. Zająknął się, nie wiedział co dalej powiedzieć. Dla pokreślenia doniosłości chwili i żeby zyskać na czasie przyniósł z kuchni butelkę wina, ale rozlewając je do kielisków krzywił się, wzdychając ukradkiem na co porządne mu murarzowi zeszało. Nie w smak mu było wino poręczkowe domowej roboty, bowiem o sobie twierdził nie bez przechwałek, że nigdy pacierza i wódki nie odmawiał. — No więc? — powtórzył patrząc na rubinowy, oczyszczający się płyn w kieliskach. — Mów, synu, od serca.

Wacek po głębokim namyśle odpowiedział:

— Sam dobrze nie wiem. Ale chciałbym do wyższej szkoły.

Nie patrzył na ojca. Stary nie zabrał głosu, siadł głębiej na krześle, wprostował nogi, popatrzał uważnie na syna, jakby go spostrzegł po raz pierwszy w życiu. — Ty, Wacek, chłopak jesteś niezgorzyszy, można powiedzieć. Pomyśl też niezgorzyszy, bo ja wiem... Mój syn... — znów sięgnął do wawów, ale opuścił w połowie drogi drżące ręce. — Pomyśl niezgorzyszy — powtórzył jakby chciał upewnić przede wszystkim siebie. I zaraz zaczął opowiadać, nie z tego, ni z owego o własnej młodości, porównując, przytaczając przykłady. Lykał w pośpiechu i ze wzruszenia niektóre sylaby, wspominał kole-

gów i przyjaciół. Wacek rozumiał, że ojciec zaważał się. Widać było, iż propozycja zaskoczyła go. "Nie o nauce widocznie myślał dla syna. Nie rozumieli się. Chłopak nie słuchał tego, co ojciec mówi, ale po chwili uspokoił się. Stary rozgadał się na dobre, przyminał powieki jakby chciał przywabić obraz minionego czasu, o którym opowiadał z taką emfazą. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, niecierpliwymi ruchami potrącając stojące wokół stołu krzesła.

— Matka moja, zaciężna kobita — powtarzał Zieliński — mówiła do mnie: „Ty, Kostek, ucz się!” Może bylibyśmy się i uczyli, ale mówię ci, wiesz, biegła zimą na bosaka do szkoły trudniej.

Rodzice Zielińskiego mieszkali w owym czasie na Saskiej Łepie. Na wprost Solca, w niskiej drewnianej chałupce, ukrytej w nadbrzeżnych łęgach. Ojciec rybaczyl, odpływał w noc milczący, zamknięty w sobie, z fajką w zębach. Rybacy rzadko kiedy bywają gadatliwi. Na dnie łodzi, u stóp Zielińskiego leżały przygotowane z wczesną haczyki z rosówkami lub ze smierdzącymi kawalczkami litewskiego sera. Skrzyppały dźwięki, z piórek nurzących beztęsełnie w topieli wiośle lały się krople. Kostek brał za pęch i przeginał ku wodzie wyściskał pływacz. Płynęli w ciszy, ogień fajki żarzył się wśród ciemności, przybrzeżny nurt spychał łódź na środek rzeki. Światła wielkiego miasta spływały w oddali po powierzchni świecąc jak krople tułstego oliwy. Przed nimi czerniała noc, rozrosła jak drzewo. Wpływali w małe zatoczki, porosłe z obu stron wikliną, pływki i muliste. Bliżej kępy, w zakosach na dnie jam, przesuwały się kłębki i okleje, sploszone odgłosami wiosłowania. Z piasku wydobywały węgornice, ojciec upychał nimi stary dziurawy noniok i wiosłując wracali na środek rzeki. Dopiero teraz zaczynał się północ. Łódź drgała na nurcie jak wystraszona rosówka, z cichym pluskiem spadała delikatnie w bystrzy żyłki z haczykami. Z połowu wracali zmęczeni, zniechęceni, nierazdo przemoczeni, nad ranem zimno wzmagało się, pierzchyły ręce, twarz kostniła wysmagana porwistym wiatrem. Ojciec podbił do Solca, brał ryby i niósł je na swoje gospody. Furmani wyprowadzali konie, teo stukające kopytami po bruku, piaskarce drewnianymi szufłami wygarniali wodę z batów, szukując się do od-

jazdu, Nurt bełkotał, obijał się o burtę łódki, kołysał do snu. Powracał ojciec, czasem przynosił ćwiartkę wódki i pęto kiełbasy na zakąskę, ale musiał to być północ dobry, a wiatr przenikliwy.

Woda zastępowała szkołę, rybowanie wykształcenie, i tak upływały lata. Usypiano wąż miedzeszyński, by rzeka w czasie wylewów nie podchodziła rozlewiskami pod Grochów, przez sześć lat stawiano trzeci most. Wesoło zrobiło się na brzegu, ojciec porzucił rzekę, poszedł za kamieniarza. Pociągnął za sobą i Kostka, siadali razem na bryłach okrajkami i dziobając z uparciem kamień dółtem oraz tłuczka krzesali z niego iskry. Saska Kępa, gdzie żyzną ziemię sprzedawano na morgi, ale nikt brać jej nie chciał bo daleko, zmieniła się. Ale niedzieli, jak i dawniej, pośród sadów białych od kwiecia, spacerowały zakochane pary, przytulone w czułym uścisku. Na nie właśnie wycekiwał ojciec Kostka na warszawskim brzegu w słoneczny ranek niedzielną, przystrojąc łódkę tatarakiem, narwanym pod Kamionkiem. Przechodnie wsiadali z trwogą do łódki kruchej jak strączek i dygocząc z emocji przepławiali się przez rzekę dumni z przeżycia, gdy już stawiali stopy na piasku. Dźwięki harmonii ploszyły żydowskie kozy w starodrzewiu, przywiązane na kółkach przy słomianych budach dzierżawców sadów owocowych. Kiedy zapadał wieczór, ciepły jak oddech, spod drzew, pod którymi leżeli rozłożeni na trawie wycieczkowicze z miasta, słychać było wznoszący gwar i pokrzykiwania. Czyżby ochrypli głos wdzierał się w ten szum, zawołując basem:

Saska Kępa zieleń-ee-je?

Tużecz panny i złodzie-je-ee!

Przybyłszy z miasta wynosili się wtedy cymprzej, gromadnie pakując się do łódki, którymi sterovali zlekka pijani wioslarze. Na Saską Kępę wracało prawo pięści i majchra, beznamiętne psy ogryzały porozżucane kostki drobiu. Harmonia rozlegała się na pełny miech, spod topól podochocony powozemien bas wyciągał jedną poleciek:

Antek Mańkę chwycił

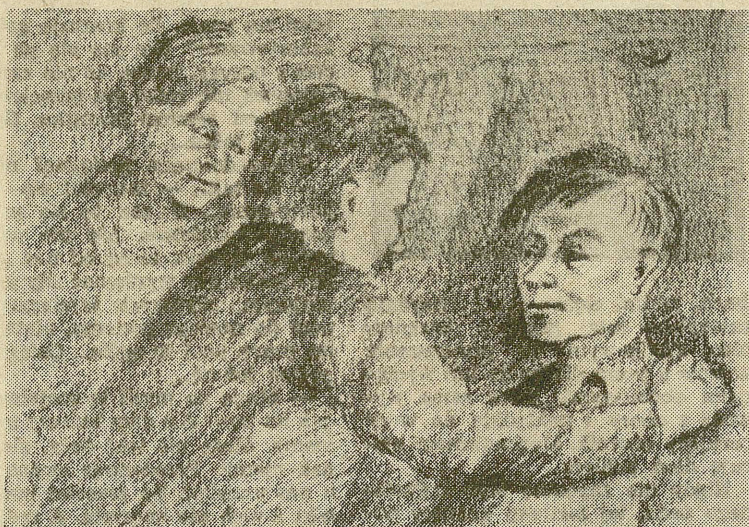
w pasie-ee-ee,

A to głupia spłakała się!

W ciszy chrzęstliwy drewnianymi tonami świerszcze, woda parowała zebrany za dnia ciepłem.

Kiedy miało lato i przychodziła jesień ogolająca z liści drzewa,

Saska Kępa czerniała jak ementarz. Wiatr targał futrynami okien, sypał w szyby ciemnymi liśćmi, niebo niczym głaz przytłaczało olowiem obłoków niespokojnie błęgnących jak zbełtane wiślane fale. Głód stawał się częstym gościem po chałupach, dzieci marzyły, wędrując do solca. Ojciec Kostka chodząc niespokojnie po izbie, wybiegał z chałupy i chwycił za podrywke. Siedzącą przebiegał przerebel i w śliskiej przeciekającej nurt zapuszczał się, czasami zatrząsał w niej okno, senny i zimny jak kawał lodu. Powrót do domu przypominał o rodzinie, głodzie i chło-



Rys. Bimali Horska

dzie. Trzaskały zbierane ukradkiem za dnia galezie, spalając się wiatłym płomieniem pod paleniskiem, dające liche ciepło. Pekanie lodów, na które tak wycekiwali, stawało się z wiosną wielkim świętem. Wydawało się, że trzeszczy cała chałupa a belki trzą się o siebie jak zrzepione kry. Po długiej zimie nastawała, nie miała wiosna, brzegi okryte skorupą kałuż nasycały się zielenią, drzewa kłęły się pierwszymi pąkami. Nadzieje na lepsze przeżycie wrosły z każdym dniem, szeroko otwarte drzwi i okna zionęły niemal piwniczną stęchliną. Kostek dobrze pamiętał radość w domu, kiedy pewnego przedwiośnia, przed samą Wielką nocą, przgonili od Żyda z Rembertowa kozę pławą jak sarna, z rogami, o mądrych współczujących oczach i profesorskiej brodzie. Wychodził wszyscy z Mecią na spacer, paśli ją na ciemniejszych kępkach ledwie widocznej trawy, byle syta

chłopak jesteś porządny. Uczyć się chcesz? — zastanowił się, kręcąc głową. — U nas w rodzinie nikt się nie uczył i jakoś się żyło? Matka — podskoczył do kuchni i wrócił z żoną. — Matka, syna będziesz miała inżynierem...

Popatrzał na nią, Zielińska na niego. — No? — zachęcał ją do wypowiedzi. Zapadło milczenie. — Daliśmy sobie radę i bez twojej gotówki, synu, nie matka? — zagadnął powtórnie żonę.

Pieniądz, zawsze pieniądz — odpowiedziała wymijająco Zielińska, nie wiedząc jeszcze o co chodzi.

Stary przytwierdził.

— Ma się rozumieć. Nigdy go w domu za wiele nie będzie. Ale ja zarabiam lepiej, choć wydatki rosną. Na dzieci. Bo...

— Co tam planujesz — podchwyciła Zielińska, złożony wygodnie ręce na piersiach. — Czego ci się zachciewa?

STANISŁAW SŁUPEK

ŻYŁ MANDZIAR PO CHRZEŚCIJAŃSKU...



Rys. Bimali Horska

Grądem — mojej rodzinnej wsi pościwie.

W LĄSOWIE to nikt we wsi nie wiedział dokładnie, kiedy się Mandziar urodził i czym był. Kogo to wreszcie mogło obchodzić? Takich jak on dopiero wtedy zauważano się w gromadzie, gdy już coś kolo gospodarstwa zepchnąć mogli. Jedyną starszą Wronina, ta co się przez sto dziesięć lat opierała śmierci i biedzie, tak o nim wspominała: — Mandziar jest synem Pitucha, tego co był karbowym na dworze Rogalińskiego, matce zaś było Rozalia i zmarła parę lat przed wojną pruską — świeć Panie nad jej duszyczką — na cholera.

Temu jednak rodowodowi przeciwił się stanowczo wszyscy Pituchy, ilu ich we wsi było, bo wszyscy ród swój wywodzili od rzeczonego wyżej karbowego i nie honor im było za fanilanta mieć dziada. Zdaje się jednak, że przypuszczenia starej baby były prawdziwe. Mandziar bowiem był tak podobny do Pitucha jakby mu z oka wyszedł. Ta sama figura, te same rysy twarzy, krótko mówiąc wykany Pituch.

Kiedy jednak owo historyczne źródło — Wroninę — zasypiano na parafialnym cmentarzu, nikt już we wsi nie dochodził mandziarowych przodków, a co się tyczy Pituchów, to pewnie i oni wtedy odetchnęli. Tak czy inaczej rodowód ten trzeba uzupełnić. Pozwólcie więc, że to uczynię. Stwierdziłem bowiem w księgach metrykalnych parafii bolesławskiej, że dziecko z Rozalii Mandziar przyszło na świat w 1861 roku, a więc w tym czasie — kiedy, jak tradycja głosi ludzie marli na cholera i pomór wyduślił setki tysięcy.

Wtedy to całą Galicję pokryły zapowietrzne cmentarze. Stoją one po dziś dzień, miejsca opuszczone, na odludziu, od których stron się jak od zarazy: Jedne miejsca w przedłużonej Małopolsce, które omijały ostre pluga.

Latwo się zatem domyślić jak było w tych cholerycznych czasach Mandziarowi.

No, więc ktoś go z pewnością przysparzał z litosci. Dużo miejsca taki nie zajął. Gdzieś na nalepie, w popiele, albo w nogach ślubnana. Zjesz co mu dali zjadł, a musiał być chyba niezwykle żerny, żeby się o przeżycie „naturalnej” selekcji, która za panowania cysarza Franciszka co drugie dziecko z chłopskiej izby zabierała.

Kiedy już doszedł do czwartego roku życia było mu źle. Przy gęsiach na — groch, na tarmine, po miedzach szczał... Dalsza droga była prosta: z nalepy do żłób. Tam bowiem, pastuchem będąc, sypiał. Tam też krowy w zimie chuchały weń, miłosierdzie go ogrzewając. Przy tym wszystkim brał łanie, był popychał, stumokiem, najdudem, winien wszystkiemu co się w gospodarstwie nie podarzyło, co zdechło, co się urwało jak tyko co, to na Mandziara. A robić musiał od wschodu do zachodu.

Po latach wczesnego dzieciństwa, mniej więcej w czternastym roku życia postanowił się chłopiec usamodzielniać, bo jak — sam wspominał — lepiej mu się to opłacało.

Zmiana polegała na tym, że już nie wiązał się regularną służbą przez cały rok ani ze dworem ani z gospodarzami, tylko się wynajmował do roboty gdzie popadło. Służąc bowiem przez cały rok we dworze otrzymywał ordynaryj, a u chłopca ładnie okrycie. Teraz idąc na komorne i wynajmując się doradnie mógł zarobić na dniówki kilkanaście reńskich w roku więcej, bo się często godził na robotę o swoim wkiem Zabrał wtedy do dzbanka żur, ziemniaków, chleba — i w drogę. Do mleczki, do żniwa.

Jadło, którym się żywił było tak podłe, że nawet w tych czasach, kiedy co roku marło z głodu w Galicji pięćdziesiąt tysięcy ludzi, uważano je za coś obmierzłego.

„Żebyś cholera tak żył jak ten Mandziar!” pomstowali się w czasie kłótni chłopci, nadużywając Mandziarowego imienia w rozmaitych okolicznościach. Mimo to Mandziar na nie nie zważał, trybu życia nie zmieniał, oszczędzał na własnym żłądku jak tylko mógł, żeby jak najwięcej zosłotek uciąć. A do roboty siły miał niewiele. Na dłuższym dniu kope żyta potrafił strząsnąć cepami do południa, we żniwa szedł zawsze w przodku, pnie z lasu łupał z przedziwną łatwością — jednym

słowem, gdzie byś go nie postawił, zawsze był pierwszy. I te właśnie przyniosły zjednać mu powszechny rozgłos jako wyrobnikowi. Roboty mu nie brakowało.

Tym sposobem do roku 1913-go zarobił dwa tysiące reńskich. Dwa tysiące w tych czasach?!... Dwa dziesiąta zosłotek placono dniówek i takich co to w gorące lata przy sierpie lub kosie pot ciurkome oczy zalewa i takich w mroźne zimy, podczas których tylko cepy na klepsku przy młocce rozgrzewają...

Mandziar chciał dorobić się żeby żyć po gospodarstwu z parą koni, honornie. Chciał więcej z tego groju. Z tej nędzy wlokącej się za nim od dziecka Dobijał już nawet targu o 5 morgów z dziedziem, który miał w tym czasie długów po szyję. Kupno się jednak odwlekało, a w miedzy czasie ksiądz proboszcz ogłosił z ambony, żeby ludzie swoje oszczędności składali w kasie parafialnej Reifensena na procenta. Ten apel do wiernych poparł proboszcz znaną przypowieścią z ewangelii.

— Z pieniądzem! — powiadał tak — jak z tymi talentami: jeden ma trzy i zakopie do ziemi, drugi ma jeden i pomnoży go w dwójnasób. Złóżcie zatem — powiadał pieniądza do kasy, a z procentów urośnie wam z czasem drugie tyle.

Nieśli inni, zaniósł Mandziar.

Czas jednak już się nie nadarzyła, bo dziedzic zaciągawszy w kasie parafialnej pożyczkę dług po szyję, a ksiądz piętrową kamienicę w Tarnowie nabył.

Wybuchła wojna. W jej ogniu reńskie traciły swoją wartość, stały się jak łód. W ten sposób za 40 lat pracy ostał się Mandziarowi złoty kożuch oraz karbowane buty, które kupił dla dodania sobie szacowniejszego wyglądu, kiedy o ziemię z samym dziedziem przy jednym stole pertraktował i kiedy już lada chwila miał zostać gospodarzem. Ten kożuch i buty to był cały jego majątek. To wszystko, bo przecie tych marek jakie odebrał po wojnie światowej nie ma co rachować. Zaledwie kure mógł teraz za nie kupić.

„Ej nie bliźni! człowieku!” — u ten Mandziar! pomstowali się w czasie kłótni chłopci, nadużywając Mandziarowego imienia w rozmaitych okolicznościach. Mimo to Mandziar na nie nie zważał, trybu życia nie zmieniał, oszczędzał na własnym żłądku jak tylko mógł, żeby jak najwięcej zosłotek uciąć. A do roboty siły miał niewiele. Na dłuższym dniu kope żyta potrafił strząsnąć cepami do południa, we żniwa szedł zawsze w przodku, pnie z lasu łupał z przedziwną łatwością — jednym

Wziął tedy chłop „po chrześcijańsku” na obolaj grzbiot ob krzyż pański, żeby go dzwignąć dalej. Ino teraz czekała go cięższa droga, bo

już był w latach. Pięćdziesiątka minęła.

Była piękna pogodna jesień. W takich czasach dni są sennie, ciepłutkie jak letnia woda. W polach motają pajaki białe lato, rozlewając się srebrnymi nitek nad świeżą i sypką podorywką. W taki dzień w sadach rumienią się lica dojrzewających jabłek i grusz, a cały świat wydaje się być jakiś cichszy, spokojniejszy, lepszy.

Wróciłem wtedy z łak od krow, gdzieś ze smutkiem pożegnał odlot bocianów i nabierał pełne z nadzadze kasztanów poleciałem do Miętusa. Tam to zwał się mój przeciągły warkot maszyn, pierwszej młocarni w Grądach. Słychać go było w cichej wsi, niby brzęczący rój rozruszanych pod darnią trzmieli, od których dobierał się kłiem swawolne dzieci.

Przy długomlotnej maszynie, u pierwszego gospodarza na okolicę, uwiłajło się sporo ludzi. Z boiska bily kłęby czarnego kurzu, tak że w pierwszy chwili nie mógł nawet rozpoznać kto tam pracuje. Szeroka młocarnia drgała na małych kółkach, wciągając co chwilę snopki na rozpedzony walec. Robota szła szybko. Dwie pary koni kołowały w kieracie. Za jedną z nich chodził sam Miętus. Wysoki, stateczny młokujący na wszystko po gospodarstwu. Cztery ogiery wypasione na owsie jak by czuły obecność swego chlebodawcy, bo szły równo, dostojnie jak on sam i tak mocno ciągnęły się dyszle przy kieracie powginaly.

Jeszcze do cięższej pracy niż one był wprężony Mandziar, pracujący przy zgarnianiu i odbieraniu słomy, którą następnie wiązał i odrzucał widłami na coraz wyższą kopę. Normalnie dwóch ludzi wykonuje te prace. Miętus jednak wiedział kogo tu postawić, żeby przy młocze zaościć jedną dniówkę.

Nagle maszyna stanęła zadławiona, szły widać snopkiem i w tym momencie spadł z koła pas. Zanim go nalożyli przyjrzałem się Mandziarowi. Był cały mokry, zakurzony, zły po tem. We łbie, na karku, za koszlą miał pełno ości. Ponieważ przerwa w robocie przewlekła się parę minut, podszedł do maszyny zaniepokony sam Miętus. Mijając Mandziara rzucił na niego pogardliwe okiem, a widząc, że chłopca opadają portki niżej pepka szturknął go batem.

— Popraw żeś po tki — warknął — bo ci ptok wylizie, a dzieci małe się tu kręcą.

Parobek cofnął się w tył, żeby zrobić miejsce gospodarzowi, następnie zaś wsparł się na widłach patrząc na tych co majstrowali koło pasa.

Stanisław Słupek

Fragment opowiadania.

Murarz popatrzał znacząco na syna, żona poszła za jego przykładem. Wacek zmieszal się pod spojrzami rodziców. — Tak, synu, trzeba będzie pomyśleć o tobie? Więc wzięłbyś się za naukę?

— Cemu nie — Wacek odzyskiwał pewność siebie. — Czy głupszy jestem od innych?

— Kto tam zna ciebie — ostudził go w zapalch ojciec. — Wiesz — znowu powracał do minionych czasów jakby nie mogąc sobie czegoś darować — ja, gdybym miał w życiu te możliwości co ty też uczylibyśmy się. Bylibyśmy może majstrem, a nawet technikiem. Mnie nikt wykształcenia dać nie mógł, choć matka, zaciężna kobita, namawiała. Szkoły były za drogę, rodzice moi — westchnął Zieliński — nie starali się, to znaczy starali się, ale nie stać ich było. Ty Wacek dobrze myślisz, mówię ci prosto z serca jak ojciec synowi, dobrze myślisz!

— Ja sam wiem — nieśmiało zaczął Wacek, spoglądając na matkę, która uśmiechając się jednocześnie ocierała ręką fartucha mokre oczy.

Ojciec zmarszczył czoło i zesunął brwi w jedną linię.

— Tak więc widzisz, synu, prześlę ci ja sobie. Nawet i nas stać by było, abys chodząc do szkoły i nie pracował...

Wacek pokławił głową na znak zrozumienia. Wiedział, że nie byłoby tak lekko jak ojciec mówi. Starsza siostra, Jadwiga, wyszła za mąż za Antka Burzę, ale młodsza Stefka chodzi jeszcze do szkoły, nowe mieszkanie dostali, meble wzięli na spłaty, więc utrzymanie takiego domu kosztuje. A jeszcze ojcu udało się kupić „Pioniera” na spłaty, to wszystko razem obciążało budżet Zielińskich.

— Wiesz synu — ojciec uśmiechnął się i podkręcił wasa. — Ja myślę tak, ty jesteś syn robotnika i wstydzić się tego nie potrzebujesz. Jak będziesz pracował i uczył się, to będziesz miał większe uznanie dla siebie samego, nie zapomnisz z jakiego domu wyszedłeś. Bo to widzisz sam — z jednej strony masz już doświadczenie z pracy, z drugiej bierziesz się za naukę. Na mój rozum, najlepszy to sposób, by wyjść na człowieka.

Wacek przytaknął.

— Rozumiesz mnie? — ucieszył się ojciec.

— No, jak to nie? — zdziwił się Wacek. — Jakżeby inaczej być mogło. Cóż to rady nie dam, uczyć się i zapracować? — Za kogo mnie ojciec ma! — prawie wybuchnął gniewem.

Ojciec pochylił się nad kieliskiem, z lekką czerwienią w twarzy.

— Bo to widzisz — pociągnął łyk wina, krzywiąc się nieco, ale tak by żony nie uraził — ja sam też tak trochę... jakby ci to powiedzieć...? — uśmiechnął się, pełen zawstydzenia. Ale wyprostował się i chrząknął znacząco. Wacek słuchał z zainteresowaniem. Więcej po to ojciec zamykał się wieczorami w pokoju, tłumacząc, że jest zmęczony i w samotności chce trochę odpocząć. Ale jeszcze długo w noc przeświecało spoza drzwi światło i słychać było jak ojciec pokasluje.

Czasami przychodził do ojca koledzy, zajmowali pokój, w którym powietrze sinalo od dymu. Sprzeciali się głośno, dowodzili czegoś i sprzeciali się znowu. Nie byli to zwykli murarze, ale mistrz w mistrza, same asy. Prawie każdy z nich utrzymywał tutaj mieszkanie z racji przodownictwa w pracy. Wacek widział jak ojciec przynosił jakieś książki do domu i na chwilę w pokoju, w którym siedział z kolegami, zapadała cisza. Murarz wolnym, łączącym z trudem wyraz w zdaniu głosem, czytał jakiś ustęp z książki, potem znów wszyscy mówili głośno i sprzeciali się.

— Synu! — ojciec dopił wina do reszty i powiedział. — Nie jestem już młody i nie mój czas. To, że czytam, jak wiesz, to po to, aby nikt z was młodych nie śmiał mi powiedzieć, że jestem jak nieciosany ćwiek. Ty teraz pracując jak pójdziesz ci dobrze, ja się przyłożę. A jeśli kiedyś pójdziesz na politechnikę — stary wymówił z nabożeństwem te słowa, powtórzył je smakując jak cukierek — ja ci pomogę...

Wacek rzucił się ojcu na szyję, przewracając kieliszek z winem. Lepka struga przeciecia obrus krwawym jeżorem.

— Wina ci się zachciało, stary! Też coś! — krzyknęła matka. Wyszła z pokoju płacząc. Nie obruszałowała, lecz młodość własnej.

Opowiadając mi o tym wszystkim Wacek wpatrywał się podenerwowany w mrok. — Czas na mnie — westchnął.

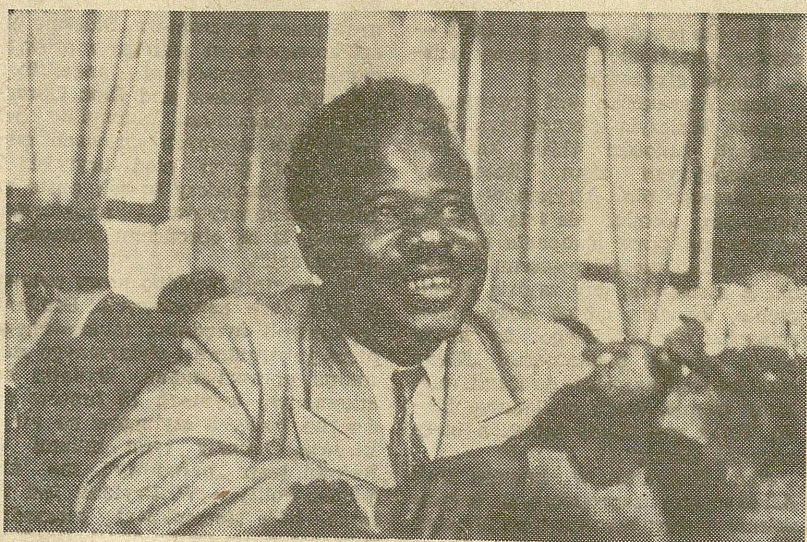
Zmierzch robił się coraz gęstszy. Jak dym, Czarna błona nieba skurczyła się rzućając od blasków. Miasto narastało jak wzgórze osypane kwiatami. Wacek odchodził powoli, śledził jego sylwetkę wtapiającą się w tłum. Nagle zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Jakś dziewczyna szarpnęła go za ramię zdyszana, chusteczka w pośpiechu opadła jej na płeć odsłaniając złote włosy. Widziałem jak poszła dalej razem, rzęd światła iarzących się jak pochodnie weselne poprowadził ich ku miastu.

Lesław Bartelski

Z tomu opowiadań pt. „Miejsce urodzenia”, przygotowywanego do druku.

ILJA ERENBURG

NA KONGRESIE W WARSZAWIE



Delegat Kongo — Felix Tehtaya



Delegatki Indii i Korei

WSZEDŁY do ogromnej sali. Jenny zatrzymała się wstrząśnięta: są tu ludzie ze wszystkich kątów świata i wszyscy są jej przyjaciółmi. Siadła przy stole amerykańskiej delegacji; z jednej strony siedział Marc James, z drugiej wielki białeń. Jenny nie wiedziała na co w pierwszej chwili. Oni chcą zrobić święto, ale ludzie im nie pozwolą. Jenny nie wiedziała na co w pierwszej chwili. Oni chcą zrobić święto, ale ludzie im nie pozwolą. Jenny nie wiedziała na co w pierwszej chwili. Oni chcą zrobić święto, ale ludzie im nie pozwolą.

Włożyła słuchawki. Słuchając się od razu: Przed nią leżała wielka kłosa. Dokierzy z la Rochelle stali dumni w porcie i mówili, że nie będą wyładowywać armat. Chłopi sycylijscy szli przez pola, przysięgali, że będą bronić ziemi i śpiewali cudowną pieśń. Wśród wysokiego kadługu biegł naprzód Chinczyk, śpiewając na pomoc Koreańczykom. Główny z Bolivi odpowiadał zandamom. „Nie będziemy pomagali zabójcom”. Nad brzegiem Wólgi rósł jak w bajce nowy Stalingrad. Pella-howie omdlewały z gorąca zbierali podpisy Stary Hindus czytał wiersze o szczytach.

— Będzie mówił o sobie — zaczął swoje przemówienie Sablon — gdyż jest jeszcze wiele ludzi, którzy myślą tak, jak ja myślałem dwa lata temu. Człowiekowi nie pierwszy raz trudno jest sobie wyobrazić, że go oszukują. Jest zabawką w cudzych rękach. Szczególnie trudno pogodzić się z tym, że Francuzom, przecież u nas każdy złośliwiec uważa się za doświadczonego wroga. Nawet wówczas, kiedy człowiek zaczyna podejrzewać, że go oszukują, kurczowo chwytając się kłamstwa, gdyż mu się wydaje, że w ten sposób broni swej niezależności. Przekonano mnie, że Rosjanie chcą wojny, pisało o tym w gazetach, tak twierdziłi wszyscy dookoła. Wiele z tych, którzy tak mówili lub pisali, byli ludźmi uczciwymi, ich także oszukiwano. Inni może dlatego w to uwierzyli, że bali się komunizmu. Nie jestem komunistą, wiele z tego, co mówią i robią komuniści, jest mi obce. Może z czasem stanie mi się bliższe, nie wiem. Komuniści chcą przebudować życie, dlatego bronią pokoju. Nie cenię ani starych przywilejów, ani przesądów, ale wyznam szczerze, że dotychczas nie zastanawiałem się głębiej nad tym, jak należy przebudować życie. Dawno jednak zrozumiałem, że wiedziałem o tym nawet wówczas, kiedy myślałem, że o tym wielu spraw — że jeśli wybuchnie znowu wojna, nikt nie potrafi wybudować. Nie będzie w ogóle można żyć. Wśród tych, którzy bronią pokoju, jest wielu komunistów i ja ich nazywam moimi towarzyszami, jak nazywałem w Ruchu Oporu, a potem w Oświeceniu. Teraz rzecz najważniejsza jest uratowanie pokoju. Było to zaledwie przed dwoma laty, nawet wcześniej, mnie się wydaje, że to było bardzo dawno, kiedy pojechałem do Moskwy jako korespondent „Transocu”. Chodziłem po Moskwie pełen niepokoju. Chwilami wpatywałem się w ludzi, ale jeszcze nie widziałem, nie właściwie nie rozumiałem. Chciałbym teraz, w tej ważnej dla mnie chwili, podziękować pewnemu rosyjskiemu obywatelowi. To skromny lekarz, nazywa się doktor Krylow. Powiedział mi, że jego specjalnością są choroby uszu i nosa. Ale mnie wyleczył z najstraszliwej choroby — ze ślepoty. Pierwszy otworzył mi oczy. Jeszcze długo szukałem, błądziłem, wpatywałem. Dowiedziałem się, czym zajmują się ludzie, których „Transoc” wysłał do Pragi i innych miast — Coster czy Major Smeadley — oni zabijali niewinnych ludzi. Oni i teraz zabijają. W chwili kiedy my tutaj mówimy o braterstwie, oni strzelają z broni, rzucają bomby na miasta

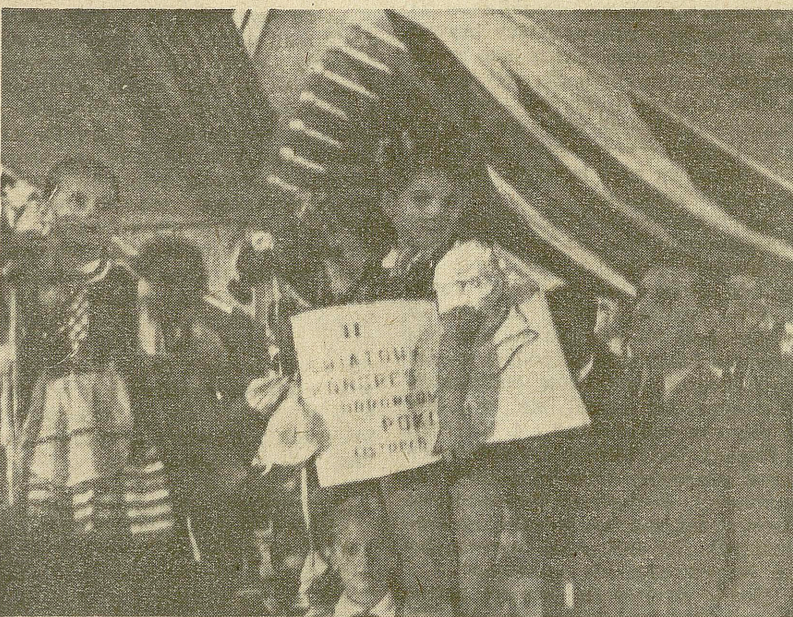
Korei, szukają nową wojnę w Europie. Czyż my, ludzie z całego globu ziemskiego, nie potrafimy ich powstrzymać?...

Sablon opowiedział o pułkowniku Robertcie, o nowej agencji „Pax”, o tym, że Downavan organizuje grupy morderców.

Wśród dziennikarzy znajdował się korespondent „Paxa” Dumpsey. Pisał bez przerwy. Korespondent „United Press” szepnął: „Pan słyszał, co on powiedział o pańskiej agencji?” Dumpsey kiwnął głową i pisał dalej. Casy dzień myślał, co by tu posłać Bernsonowi i nagle spłynęło na niego natchnienie. Przypomniał sobie, jak rano przed hotelem „Bristol” uczniowie szkół wzięli go za delegata i prosili o autograf. Artykuł zaczął tak: „Kongres przebiega bezbarwnie. Mówcy zdruzeli do ostatniości czytają z kartek przemówienia jedno podobne do drugiego — chwala Rosjan i wymyślają Amerykanom. Ludność została zmobilizowana, szeregi nieszczęśliwych mieszkańców muszą witać delegatów. Robią to z nieukrywaną nienawiścią, zarekwirowano im nie tylko mieszkania i pokoje, ale nawet łóżka. Skazano ich, literalnie, na głód, dlatego, że cała żywność zostaje pochłonięta przez dobrze odżywionych „obrońców pokoju”. Kiedy rano wyszedłem z hotelu, obstarpiły mnie głodne dzieci błagające o kawałek chleba. Wsunąłem im kilka tabliczek amerykańskiej czekolady i byłem jedynym przyjezdźcą, którego tutaj witano z całego serca”.

Nagle do sali wniesiono kosze z wielkimi gwiazdowymi goździkami. Rozkwitły na długich stołach i jak czerwona gwiazda przyluli się do policzka Jenny. Na trybunę weszła Josephine Gaudet.

— Nizza przysłała swoje kwiaty obrońcom pokoju...



Dzieci polskie witają Kongres

Jej górna warga z maleńkimi czar-nymi wąsikami drżała ze wzruszenia. Josephine Gaudet opowiedziała, jak walczyła przeciw wojnie kobiety Francji.

—Raymonde Dien rzuciła się na szynę, żeby zatrzymać pociąg z amunicją. W mojej ojczyźnie Nielei, kiedy ludzie stracili do morza wy-zwrotnicę dla „V-2” na przodzie szła bohaterka Ruchu Oporu — Mado Lancier, albo jak my ją nazywamy — Mado...

Jenny widziała w wyobraźni maleńką kobietę. Ma dwadzieścia lat i niedawno wyszła za mąż. Ukochany czeka na nią, a ona wie, że pociąg ciągnie się śmierć ludziom. Pociąg mknął jej naprzeciw. Klądzie się wówczas na szynę. Zamykają ją w więzieniu i sadzą. A oto ta druga — nad błękitnym morzem, pochwylił ją żandarm, ale wyrwała mu się i oto jak-ś obrzydlawa „rama” leci do wody... Jenny tak zaklaskała, że Marc James uśmiechnął się do brodatnika: „Boje się, że ogłuchnę...”

Mówiła Koreańska Pak Den Ai, delikatna kobieta w długiej białej szacie. Nikogo tak nie słuchano jak jej. Obok Jenny siedziała już niemłoda Amerykanka i płakała. To była właścicielka owocarni, pani Brawer, której syna wysłano na Koreę. Pak Den Ai opowiadała, ile nieszczęśliwych przyniósł Amerykanie jej cichemu, jasnemu krajowi. Jenny rozumiała

wszystko. Oto w ten sam sposób wdzierali się do domów murzyńskich Ride albo Richmond młodszy i zabijali dzieci. Pewna Koreańska niosła na plecach dziecko, potem chciała nakarmić je pierśią i zobaczyła, że dziecko nie oddycha; zabił je o-dłamek bomby. Ale Koreańczycy nie poddali się i nie poddają się nigdy, są dumni i uratują swój kraj...

Kiedy Pak Den Ai skończyła przemówienie, wszyscy wstali, wiele osób podbiegło do niej, ścisnęli jej ręce, obelgowano. Wielebny Mackhill tak-że podszedł do Koreańki i powiedział: „Wzbawcie prostym Ameryka-nom, oni nie wiedzą, co czynią. A niekiedy, którzy rozpatuli tę woj-nę, odpowiadają przed Bogiem i przed ludźmi”. Pani Brawer wleżała płakać, przez łzy ponosiła tłumaczyć: „Niech jej pani powie, że bardzo mi wstyd, mam tam syna. Jenny stała z boku; potem nieśmiało podszedła do Koreańki — nie wiedziała, jak ma wyrazić swoje uczucia Pak Den Ai objęła ją; wówczas Jenny rozplakała się z bólu i radości.

Profesor Kennet wrócił zadowolony z posiedzenia komisji, powiedział, że robi się wielką rzecz — tworzy prawdziwy program pokoju. Bał się, że radzieccy delegaci będą na wszystko mówili „nie”, ale oni uważnie słuchają co mówią inni, wnoszą u-miarkowane propozycje, zgadzają się na poprawki. „Teraz widzę, że można się z nimi dogadać” — powiedział Kennet.

W przerwie między dwoma posie-dzeniami Marc James z grupą de-legatów pojechał oglądać Warszawę. Po powrocie powiedział: „Oto co zna-czy, kiedy nie ma wyszyskiwaczy! Hi-terowcy zniszczyli miasto doścześnie. A spojrzeć tylko, co zrobili Po-lacy!... U nas się chwala, że szybko budują, ale mnie się zdaje, że tutaj budują jeszcze szybciej: ludzie ro-zumieją, że budują dla siebie. Kiedy

chcą wojny? Bo są chciwi i żli. Miałam przyjaciela, który pracował na plantacji senatora Lowa Ziapano go, chciano posadzić na krzesło elektryczne, powiesił się. Napisał mi, że powinnam być dumna i zia Saram się być dumna; teraz, kiedy wróce do Ameryki, będę walczyć lepiej niż walczyłam dawniej, — przekonałam się, że nas jest na całym świecie, czuję u ramion skrzydła. Mój przy-jaciół był na wojnie i opowiadał mi, że oficerowie kpiłi sobie z czarnych żołnierzy. A przecież u nas mówio-no wówczas, że walczyliśmy z Hile-rem dlatego, że on gniebił inne narody, zabija Żydów. Wzorem pewna Polka pokazywała mi Warszawę. Widziałam, co tu narobili ci morder-cy. Jakże to szczęście, że Polska jest teraz wolna, że tu nie ma ani Niem-ców, ani Amerykanów w rodzaju Smeadleya. Dlatego właśnie Polacy odbudowują swoje miasto, odbudo-wują w dzień i w noc. Kiedyś wieczor-jem wracali z nocnego posiedze-nia, widziałam, jak ludzie pracowali przy świetle reflektorów. Tak się ciesze, jak gdyby te domy należały do mnie. Przecież nie cieszyłam się, kiedy Richmond budował dom w Jacksonie, a tutaj się ciesze. Polka zaprowadziła mnie na teren dawne-go ghettta, tam dotychczas są same ruiny, strasznie jest spojrzeć. Opo-wiedziała mi, że w ghettcie Niemcy trzymali Żydów. Ja to rozumiem: u nas w Jacksonie też jest część mia-sta przeznaczona tylko dla Murzy-nów. Polka mi opowiadała, jak w ghettcie ludzie powstali i jak zginęli w nierównej walce. Ja, kobieta z Jacksonu, pokłoniłam się nisko pom-nikowi — ci ludzie zginęli dlatego, że obudzili się w nich dumna i god-ność. Ciesze nam jest teraz żyć w Ameryce. — nie mówię tylko o Mu-rynach, — trudno jest wszystkim ludziom pocieszyć. Może wiecie o tym, że profesor Mickleya niedaw-no wszadono do więzienia jak Ho-warda Pasta, że chcą sądzić Hires-to-ne’a, którego oskarża się o szpiego-stwo, tymczasem winą jego polega tylko na tym, że chciał pokoiu i zbierał podpisy pod apelem sztok-holmskim Hiresstone ma ukochaną, nie wymienie jej imienia, jest bar-dzo odważna, jak te Francuzki, o których tu była mowa. Takich jak ona jest w Ameryce wiele. Bardzo was proszę, nie sądzcie naszego na-rodu na podstawie szubrawców. Jesz-cze zobaczycie Amerykę i jej praw-dziwe serce. Nasze gazety piszą, że Rosjanie to nasi wrogowie. Mój przy-jaciół, którego zabili ludzie Smead-le’a, opowiadał mi, że rosyjski pułkownik na Łabie uściłnął mu rękę. Wspominał o tym przed śmiercią, napisał o tym do mnie. Wiem, że naród radziecki pragnie pokoju. Ned moim łóżkiem wisi portret Stalina. Kiedy tutaj występował delegat rad-ziecki Szobarszyn, bałem się opuścić choćby jedno słowo. Zapisalam wszystko i będę mogła opowiedzieć w Ameryce. Mojego przyjaciela tu-taj nie ma, zamyczyl go, ale pragnę uściłnąć rękę radzieckiego delegata w imieniu mojego przyjaciela i w imieniu wielu innych — czarnych i białych... Ujrzałam tutaj nowy świat. Nikt ode mnie nie stronił dia-tego, że jestem czarna Polka zapy-tała, czy nie chciałabym zostać w Warszawie, odpowiedziałam, że chcę wrócić do domu. Tutaj, oczywiście, byłoby mi o wiele łatwiej. Ale ja kocha-m Amerykę. Człowiek rodzi się raz w życiu, umiera raz w życiu i ojczyznę ma tylko jedną. Mój ojciec pracował na plantacjach koło Jacksonu i matka tam pracowała. Tam się urodziłam, nad brzegiem żółtej rzeki, tam w lasach drzewa są porośnięte mchem i kaktusy wyższe od człowieka. Tam jest wiele, bardzo wiele niedoli. Człowiek, jeżeli trzeba, powinien um-rzeć za ojczyznę, jak umierają Ko-reañczycy, jak umarł student Pa-ragwaju, jak umierali bohaterowie Stalingradu. Ukończyłam szkołę początkową, staram się czytać jak naj-więcej, ale umiem jeszcze bardzo mało; w naszej delegacji są uczeni i wszyscy nasi delegaci są starsi ode mnie. Mogę obiecać tylko jedno: co-by się ze mną nie stało, będę walczyć o człowieka, o braterstwo, o pokój. Przysięgam, że tak uczynię, ja — Jen-ny Cambor, szwaczka z Haarlemu.

Udzielono głosu Jenny Cambor. — Nigdy nie występowałam na takim wielkim zebraniu — zaczęła Jenny — i jestem bardzo wzruszona. Jestem zwykłą Murzynką, szwaczka. Do zeszłego roku mieszkałam w Jacksonie, w stanie Mississippi. Z trudem się powstrzymałam, żeby nie krzyknąć, kiedy mówił francuski dziennikarz Sablon, wymieniał przecież lu-dzi, których ja znam także. Major Smeadley urządził w Jacksonie straszliwy pogrom, spalono cukielnika Banga, zabito czterdzielnią dziewczyn-kę Smeadleya i dawniej szczerł swoich ludzi, oni rok rocznie wieszali Mu-ryznów albo oblewali ich benzyną i palili. Oto skąd się wzięli mordercy, o których mówił Sablon; uczyli się u siebie w domu, a potem zaczęli zabijać gdzie indziej. Richmond młodszy nie pojechał może na Koreę, ale pojechali tacy jak on, Dlaczego ludzie, którzy rządzą naszym krajem,

Fragment powieści „Dziwłata Fala“

JANUSZ MACIEJEWSKI

Notatnik z pola walki

DOBRA publicystyka polityczna (bo o publicystyce tutaj chcę mówić) wcale nie jest gatunkiem łatwym ani łatwym. Ma takie same wymagania i tyleż kosztuje wysiłku co dobra poezja lub proza powieściowa. Meritum zagadnienia leży natomiast w tym, że ogólnie przyjęło się stawianie publicystyce o wiele mniejszych wymagań niż „prawdziwej” literaturze, w wyniku czego dobra publicystyka jest naprawdę rzadkością. Dlatego z tym większym uznaniem należy powitać kilka naprawdę dobrych zbiorów publicystycznych, napisanych przez znanych pisarzy, jakie ukazały się ostatnio na półkach księgarskich. Dwum z nich — tomikom Kruczkowskiego¹⁾ i Iwaszkiewicza²⁾ chciałbym poświęcić nieco miejsca w niniejszym artykule.

Tytuł zbioru Iwaszkiewicza „Sprawa Pokoju” nadawałby się właściwie z równym powodzeniem na nazwę tomu Kruczkowskiego, bo też oba zbiorki śmiało można by nazwać notatnikami z pola walki o pokój, składając się bowiem na nie w większej części przemówienia i referaty wygłoszone na najrozmaitszych imprezach w obronie pokoju lub artykuły pisane w związku z nim.

Większość artykułów zawartych w zbiorach powstało po 1948 roku, jednak znajdujemy tu także wcześniejsze (u Kruczkowskiego jeden nawet przedwojenny), gdyż walka o Pokój nie zaczęła się od Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu, choć kongres ten wprowadził ją na nowe, zorganizowane tory. Walka o Pokój początkami swymi sięga 30 lat wcześniej, do zarania istnienia pierwszego państwa socjalistycznego, bowiem „obrona pokoju, walka o pokój” — mówiąc słowami Kruczkowskiego — jest od początku istnienia Związku Radzieckiego fundamentem jego polityki zagranicznej, bowiem nosicielem idei pokoju był od początku swego istnienia marksistowski ruch robotniczy, ideologia partii komunistycznych. Dlatego te same artykuły, co inne powojenne artykuły pełni w zbiorze Kruczkowskiego ciekawy artykuł — wspomnienie „Dwa przeżycia paryskie”, jedyny z „Spotkań i konfrontacji” utwor przedwojenny, drukowany w „Sygnalach” w 1938 r. Wspomnienie to wywiera na czytelniku szczególnie silne wrażenie, jest wymownym świadectwem, ile w publicystyce tkwić może artystycznej ekspresji. Świadczy jeszcze o jednym, że publicystyka jest rodzajem literackim wyjątkowo rozległym i giętkim, dającym wiele możliwości dla artystycznych poszukiwań. Konstrukcja omawianego artykułu opowiadania oparta jest na konfrontacji dwóch przeżyć autora podczas pobytu w Paryżu jesienią 1938 roku. Jedno stanowiło zetknięcie się autora „Kordiana i chama” z rekwizitem pamiętników Deczyńskiego, drugie — odnalezienie na cmentarzu Pere Lachaise grobu polskiego bojownika o wolność Hiszpanii, antyfaszysty dr. Dubois-Domanski. „Deczyński i Domanski: dwa nazwiska dwa fakty polskie, oba z jednej tej samej wielkiej Sprawy dwa moje przeżycia paryskie dusznej jesieni 1938”.

Nie wszystkie powojenne szkice Kruczkowskiego mówią o walce o pokój, choć wszystkie służą jej w mniej lub bardziej bezpośredni sposób. Obok więc artykułów takich jak „Stalinowska strategia pokój”, „Na Kongres Wrocławski”, „Tematy amerykańskie” znajdziemy wiele omawiających zagadnienia zdaleka by nie odległe od głównego tematu. Jest to jednak tylko pozorne. Bo sprawa pokoju służy także szczerze troska o byt robotnika w ustroju kapitalistycznym. (Spotkania i konfrontacje) — o życiu naszych rodaków gońców w Belgii, stanowiąca uzupełnienie do „Tematów amerykańskich” lub „Broni atomowej” pokoiowi służy także radość i dumna z osiągnięć i zdobyczy nowego człowieka w kraju socjalizmu („U radzieckich przyjaciół”, „Lenin”).

Ten sam rys, ta sama cecha widnieją także w grupie artykułów, które ze względu na tematykę zaliczyłbym do publicystyki kulturalno-literackiej. Składają się na nie omówienia wielkich rocznie literatury europejskiej („Na Puszkowskiem szlaku” — obchód 150-lecia urodzin Puszkina, „Pakt Weimarski” — o 200-leciu urodzin Goethego, obchodzonych w NRD), artykuły dyskusyjne w związku z graną w Niemczech sztuką naszego autora — „Niemcami”, wreszcie recenzja z książki Heinza Reina „Finale Berlin”, czy ciekawy, odkrywczy artykuł o nieznanej w Polsce duńskiej pisarzu-rybce, autorze książki o Polakach emigrantach w Danii („Odkrywamy Hialmaru Wulfa”).

Szczególnie cenna w książce Kruczkowskiego jest ogromna żarliwość, siła agitacyjna, z jaką ten zasłużony pisarz proletariacki potrafi przemawiać, z jaką umie mobilizować wszystkich uczciwych ludzi do służenia największej sprawie ludzkości. Cel i sens książki zawiera się w słuźeniu Pokojowi. Jest też ona jednym wielkim apelem, który da się wyrazić słowami umieszczonymi w ostatnim artykule zbioru: „Wojny nie będzie, jeśli my wszyscy, uczciwi ludzie, bez różnicy ras, narodowości, wyznania czy poglądów politycznych, będziemy zdecydowanie bronić pokoju wszelkimi dostępnymi nam środkami. Wojny nie będzie, jeśli my do



Jarosław Iwaszkiewicz

niej nie dopuścimy. Wojny nie będzie, jeśli my wszyscy obywateli naszą solidarną wolę odparcia wszelkich zamachów na pokój”. (Od złudzeń neutralizmu do rzeczywistości).

II.

PODOBIE, jak u Kruczkowskiego, tak i u Iwaszkiewicza spotykamy się z bogatym materiałem publicystycznym, przekraczającym niejednokrotnie swymi ramami „akcje” pokojowe, chociaż tak samo, a może nawet jeszcze więcej, iż u Kruczkowskiego zwartym tematyce. Bo przecież odbudowa naszego kraju („Na wydobycie pancernika „Gneisenau”) to także walka o pokój, wreszcie represje polityczne w państwach kapitalistycznych („Oda do Francji”, „List do Eliarda 1451”) stanowią ciężkie przeciwko niemu wykroczenia.

Tematyce utworu Iwaszkiewicza obracają się wokół dwóch zagadnień. Jednym z nich jest ciągłe apelowanie do sumienia ludzi dobrej woli, zawarte — przeważnie w przemówieniach — wygłoszonych podczas wielu jego podróży zagranicą z ramienia stałego Komitetu Obronców Pokoju. Drugie, ściśle z pierwszym związane stanowią rozważania o roli społecznej inteligencji twórczej, poszukiwanie wzorów politycznej, agita-cyjnej, głęboko humanistycznej literatury i sztuki. Służą temu zarówno piękna proza Iwaszkiewicza jak i poezja. Bo zbiorek Iwaszkiewicza składa się nie tylko z publicystyki, ale przepłataną jest licznymi wierszami. Efekt takiego układu jest więcej niż zadowalający. Wiersze wyróżnione uzupełniają publicystykę — tworząc razem zwarta sugestywną całość.

Iwaszkiewicz przemówił tu „pełnym głosem” jako artysta operujący różnorodnymi środkami wypowiedzi, a sam fakt pozytywnej symbiozy obu gatunków jest świadectwem wysokiego poziomu artystycznego jego publicystyki. Ale nie tylko na „piękną sztukę pisaną” której nikt Iwaszkiewiczowi nie zaprzeczy, polega wartość „Sprawy Pokoju”. Stanowi ją, przede wszystkim żarliwa bojowość jego dzieła służąca analizie sytuacji międzynarodowej, głębokie zrozumienie roli i zadań pisarza i artysty w dzisiejszej rzeczywistości — zrozumienie jego miejsca w rozgrywającej się walce.

Główna idea walki o pokój jako walki twardej, nieustępliwej, polegającej nie tylko na pięknych słowach, ale i na trudzie codziennym, zawiera się już w umieszczonym na początku zbioru programowym wierszu „Pokój”.

...Nie rodzi nam się z kwiatów nurecz,
Nie piorunie nie na obłoku,
Nie spły- te na nas z niebieskiej tęczy

Nr ziemi pokój!
Tylko się musi narodzić z woli,
Jak krew wytrysnął z naszego

z wysiłków naszych rosnąc

Na ziemi pokój!
Przelumaczysz to na język publicystyki, można powiedzieć słowami autora:

„Sytuacja, jaka wytworzyła się w obecnym świecie z winy imperialistycznych apetytów państw kapitalistycznych zmusza nas do przekonania młodzieży, że pokój należy nie tylko propagować, w pokój wierzyć i nad powszechnym pokojem pracować, ale również, że o pokój należy walczyć”.

Publicystyka Iwaszkiewicza, posiadająca formę pięknego swobodnego essayu szczególnie często obraca się w pobliżu zagadnień związanych z kulturą i sztuką, szczególnie dobitnie wykazuje, że „obrona pokoju jest to obrona kultury; tego wszystkiego co w przeszłości naszej było jasne i trwałe co było zamierzeniem naprzód, tego co w teraźniejszości jest twórcze, i tego co w przyszłości stanie się rzeczywistym”. Dlatego książka Iwaszkiewicza ma dla nas jeszcze jedno znaczenie. Jest ważnym dziełem agitacyjnym, którego adres społeczny brzmi: ludzie nauki, sztuki, kultury. Skierowany jest on przede wszystkim do artystów.

„Nie ulega dla mnie wątpliwość — mówi Iwaszkiewicz — że dla

(Dokończenie na str. 11)

1) Leon Kruczkowski, „Spotkania i konfrontacje” — PIW — 1950.
2) Jarosław Iwaszkiewicz, „Sprawa Pokoju” — Czytelnik — 1952.

*) Fragment powieści, która się ukazuje nakładem „Czytelnika”.

WANDA MELCER

D Ź U M A



Rys. Jan Kober

Koniec marca 1951 roku, dziesiąty miesiąc wojny koreańskiej. Wojska ludowe rozgromiły wprawdzie dywizję południowo-koreańską, ale Amerykanie posunęli się aż ku Mandżurii. Mac Arthur otrzymał właśnie dyktando. Naród koreański zbiera siły do kontrofensywy. Statek szpitalny nr 1902 przybył na Morsze Żółte i stoi na redzie portu In-Czon, żeby pod pozorem niesienia ludności pomocy dokonywać zbrodniczych doświadczeń na jencach.

Akcja powieści rozgrywa się w ciągu jednego dnia, rozpoczyna się w niedzielę o 10 rano, kończy o północy. Na pokładzie zbiera się grupa marynarzy. Jest wśród nich poeta ludowy, Murzyn Homer Ratcliff, komunista Olof Petersen, jest Francuz Laurent Simmier i Amerykanin John Dobrey. Sygnalizowano Partii podejrzany statek i Petersen dostał się nań z wielkimi trudnościami, żeby zdemaskować Amerykanów i o ile możliwości przeszkodzić ich zamiarom. Prowadzi on więc dyskretną agitację, do której zwoła wyciąga coraz szerszy krąg. Wprawdzie załoga skompletowana jest wśród bezrobotnych, obywateli i awanturników, którzy zżeniłi wysokimi zarobkami pragną za zarobione dolary prowadzić burżuazyjny tryb życia w ojczyźnie — nie są to jednak w większości ludzie pozbawieni sumienia. Fakt, że Koreańczycy i Chinyce nie bombardują szpitala skłania ich do zastanowienia, a bezwzględność amerykańskiego łącznika i niemoralność siostr szpitalnych odstrasza. Przy tym John Dobrey, młody chłopak, który zaakceptował się by się przedrzeć do wojsk ludowych i świadoma akcja Petersena podnieca ich niepokój w związku z dżumą, a bombardowanie portu przeraża.

— Mówicie różne rzeczy o „gukach”, ale kto ich tak naprawdę widział? — podjął znów Lenart Sorensen. — Rozmawiał kto z nimi?

— A po jakimś? Po dzielniku? Nie potraficie — odrzekł któryś.

Przez chwilę milczeli, przypominając sobie nieliczne napotykanie w portach twarze ludzi, których żółtawa cera, skośne oczy i nieznaną język zdawały im się nieprzeniknioną przeszkodą.

— Kto... kto widział? — rzekł jakąż się Claes Norling. — Ja widziałem. I nie tylko widziałem. Rozmawiałem z takim.

Ten biedny Claes! Wiedział, że on miał coś ciekawego do powiedzenia. Wszyscy skierowali ku niemu oczy i zamilkli, przysłuchując się, co powie dalej. Nie był do tego przyzwyczajony, oczekiwał raczej, jak zwykle drwinę ze swego powolnego sposobu mówienia, lekkiego zająknięcia się, nielotnej myśli. Strwożony, zamilkł na dobre.

— Gadał że — przynaglił go Francuz. — Po jakimś z nim rozmawiałeś?

Widząc, że się nie wykreśli, rozpoczął opowiadanie.

— Dwa lata temu... Tak, to było chyba ze dwa lata temu, na jesieni. Dobrze mówię, wrzesień, albo może nawet październik.

Simmier wznosił ręce do nieba. — Tempo, tempo! Jak tak będziesz opowiadał do wieczora nie skończysz. Wrzesień, październik, nawet i listopad.

Zmaltretowany Claes kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale żaden dźwięk przez nie się nie wydostawał.

— Daj mu pokój — powiedział zniecierpliwiony Sven — peszysz chłopca i nie ci nie powie. Gadał, Claes!

— Masz rację, Laurent, to było chyba w początkach listopada — powiedział wrzesień Claes po głębokim namyśle, nie zauważając uśmiechów na twarzach marynarzy — jak przyszedł na stocznice jeden żółty, co za jeden. Jak potem opowiadał, stał przez parę godzin pod wrotami, bo nie chciał go puścić. Musiał pokazać, co ma za sobą i dopiero go wpuścił.

Czekali, żaden mu nie przerywał, choć doprawdy nieskładnie mu to szło.

— A on miał raptem ze sobą małą — dokończył Claes, oddychając głosem.

— Małpki? Dużo? Na katarynce? — pytali.

Co ty pleciesz? — zgorszył się Claes. — Na jakiej znowu katarynce? W ręku miał elegancką walizkę z porządną skórą, a w tej walizce różne wyroby z takiego kamienia, jasna on to nazywał, ręcznie obrabiane: wazoniki, płaszki, popielniczki, siedzące i stojące małpki. Zbiegliśmy się wszyscy, bo to nie było drogie i każdemu się podobało, kupowaliśmy. No, to ja po pracy wracam do domu, patrzę, a on znowu stoi zbiegu ulic i sprzedaje te swoje wyroby. „Ty, ja cię skądś znam” — powiada do mnie. „Czy nie widziałem cię rano na stoczni?” Owszem, mówię, to prawda. „Nie mam gdzie mieszkać” — powiada dalej — „jestem tu obcy, dopiero dziś rano przyjechałem. Może wskazać mi jakiegoś koleżę, u którego mógłbym się na parę tygodni zatrzymać”? A u nas

w Odense, rozumiecie, już się zaczął kryzys, mieliśmy z żoną dwa pokoje i myśleliśmy o sublokatorze. Wziąłem ją go do siebie — tylko, żebyś porządnie płacił — u-pomniałem — bo ja nie bogacz! U-miał parę słów po duńsku, potem lepiej się przyuczył, z paru tygodni zrobiło się kilka miesięcy i tak przemieszkał u mnie całą zimę.

— Płacił? — spytał Laurent Simmier.

— Nie mogę powiedzieć, płacił, nigdy mnie nie oszukał. Potem pojechał i więcej go nie widziałem. Nie było to bardzo ciekawe opowiadanie i marynarze poculi się rozczarowani. Czegoś się dowiedzieli o tym żółtym? Nie wiedzą nawet jeszcze, jakiej był narodowości. A Claes zmęczył się, oddycha ciężko, jakby nie miał jaką robotę wykonać, że tak długo mówił.

— Bez wielkiej nadziei, żeby się jeszcze czegoś dowiedzieć, Lenart zagadnął jednak:

— No i co z tego?

— Jakto, więc jeszcze wam nie powiedziałem? Mówiliśmy o... wojnie, — tu się znowu zająknął, łapiąc ustami powietrze. — No więc są różne sposoby prowadzenia wojny. Bo to był Mandżur. Strzelec.

— Strzelec wyborowy? Snajper?

— nacierał Sven.

Claes spojrział na niego ze zdumieniem.

— Nie — wyjaśnił po chwili — strzelec świsłaków.

Niecierpliwą Francuz podniósł oba ramiona w górę, rzeczywiste już jak ten Claes, zaczął opowiadać!

— Czego?

— Świsłaków — powtórzył Claes — no, nie wiem, co to są świsłaki? Takie stepowe zwierzątka, tego podobno w Mandżurii pełno i ludzie do nich strzelają. Żyją z tego ci ludzie. Niekiedy oczywiście, nie wszyscy.

— Po co? Jedzą to?

— Nie, na futra. Tam są miliony, oni zawsze wysyłali te skórki do miast do wyprawienia i z tego żyli. Niby ci strzelcy.

— I czemuż on tam nie został? Zrobiłby świat drogi, żeby ci sprzedać rzęzbioną małą?

— Głupio — zacerwienił się Claes. — Wiesz on strzelał te świsłaki i z tego żył. Ale wtedy była w Mandżurii japońska okupacja i on miał lata i wziął go do wojska. Japończycy. I wiecie, co mu kazali strzelać? Świsłaki.

Marynarze przysunęli się bliżej.

— Świsłaki?

— A ci generałowie japońscy, co robili z tym świsłakami? Sprzedawali, czy sobie na futra?

Claes powoli pokręcił głową.

— Nie, wcale nie było tak, jak myślicie. Bo on początkowo też nie wiedział tego wszystkiego, dopiero potem się dowiedział. Te świsłaki, szczury, gryzonie tamtejsze, ogromnie chorują. Wszystkie, całymi gromadami, całymi stadami. I to, że on sam początkowo, jak był tym strzelcem na własną rękę, nie zachorował, to tylko mu się tak udało. Bo wielu strzelców choruje i umiera.

— Na co? Zarażają się?

— Tak, zarażają się dżumą.

Marynarze spojrzeli po sobie. Usłyszeli więc znowu to okropne słowo, którym straszili ich w domu rodziny. Można się zarazić dżumą, w Azji dżuma mówili żony i matki. Dżuma, okropna choroba, o której od setek lat pisano książki,

ktoś przetrwała w tradycji narodów, jak najokropniejsza, nieodwracalna śmierć. Milczeli. A Claes ciągnął dalej:

— Zabijał on te świsłaki i znosił do obozu, ale nauczyli go, jak to robić ze wszystkimi ostrożnościami, nie chcieli tracić takiego strzelca. Miał wysokie buty, rękawice, dezynfekowane torby. A oni znowu mieli laboratoria, jak my tutaj i badali te tam suszy, świsłaki i szczury, które chore, a które nie. Bo gryzonie chorują na dżumę, ale od niej nie umierają, mogą z nią żyć a żyć. Od dżumy umiera tylko człowiek.

— I zarażali się od tych świsłaków?

— Nie, to cała historia. Zarażali się od pcheł. Nie chcecie mi wierzyć? Od pcheł.

— Pchła, to czyste stworzonko — powiedział Olof, ale dreszcz mu biegł po grzbiecie.

— Ładnie czyste! Daję wam słowo, że jak takich rzeczy słucham, to mi się zdaje, że mnie coś gryzie — powiedział Lenart i podrapał się po łopacie.

— A my tu na okęcie nie mamy szczurów? Takie — pokazał na łokciu Laurent.

Claes zamysłony mówił dalej. Nawet przestał się jękać.

— Dziwna to historia, prawda? Strzelał te świsłaki, strzelał, to znowu szczury łapali, psy mieli przyuczone, o, jak on o tych psach opowiadał, można było słuchać, a słuchać. Dobrze się już potem nauczyli po duńsku i oboje z żoną słuchaliśmy całymi wieczorami, jak opowiadał o swoim życiu.

— I cały czas strzelał te świsłaki?

— Nie, potem znowu brali go do innej roboty. Powiadam wam, usmiał się można — mówił Claes, ale żaden uśmiech nie pojawił się na jego twarzy — usmiał się można, czego to ludzie nie wymyślą! Wyobraźcie sobie, potem go znowu przetrucili do liczenia pcheł.

— To on tak lewą ręką liczył te pchły, a prawą strzelał, co? — zapytał z kpina Lenart.

— Robili to oni tak. Wprost wierzyć się nie chce. Brali bomby i ładowali je pchłami.

Wykrzyknął ze zdziwienia.

— Pchłami? Alboż to pchła wyżyje podczas wybuchu?

— Mielł jakiś swój sekret, on naturalnie nie wiedział, jaki. Dość, że wyrzucali bomby z tymi pchłami z samolotów na ogrodzone pola, a na tych polach znowu ustawiali drewniane tablice z lepem, to znaczy nie ustawiali, kładli i pchły się na ten lep łapały. To było często daleko od obozu, w stepie. I on chodził kontrolować tablice, zawsze w rękawicach, w długich butach. Ile pcheł się na ten lep złapie. Zapisywał i podawał.

Milczeli w niemym podziwieniu. Nagle Sven roześmiał się szerokim śmiechem.

— Ha ha ha, jeżeli by tylko pchłami strzelali, to proszę. Jeżeli to ma być taka wojna, to proszę.

Ale teraz odezwał się Dobrey.

— A gdyby te pchły były zarażone dżumą?

Wanda Melcer

*) Pogardliwa nazwa Koreańczyków.

Fragment nowej powieści Wandy Melcer „Statek 1902”, osnutej na tle wojny laktariologicznej w Korei. Powieść ukazuje się niebawem nakładem Wyd. M.O.N.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ŚWIT PRZY UJŚCIU NOTECI

Gdy dni toną w zmierzchów złocie,
nad topielą biegnie czas
i kołysze w wirach Notec
gwiazd i oczu drżący blask.
Potem dzień na rzekę wchodzi
sunąc ciężko jakby w łodzi,
promień słońca jest jak żerdź
wbita w sennej wody rtec.
I tak co dzień nad bagnami
skrzydłem mgieł powiewa świt,
woda stoi tu latami
i nie mieszka tutaj nikt.

Torfi dygoce na mokradłach,
gnie w błocie stęchły szczaw
i komary tną zjadale.
Tu polował kiedyś graf —
brudni chłopci bez koszuli
brodząc w bagnie zwierza szczuli
do zachodu niczym psy —
Ciężkie były chłopskie sny.
Nawet lekki dym z kominów
do chat pelz grzających mgłą
i pachniało krwią i dymem;
słońce w szybach drgało łzą.

Gdzie na pańskim chlebie bosc
i zgłodniałe były dnie,
skryją ziemię lasy sosen
i wyrosną tutaj wsie
bez komarów i bez chorób.
Z trzęsawiska i ugoru
chłop wyorze żyzny płon.
Gdzie dziś woda — stanie dom;
młody chłopak ponad mgłami
o zachodzie zbudzi pieśń.
Nowe życie kanałami
zmyje z łak bagienią pieśń.

GEORGE BIDWELL

KENIA W WALCE O DEMOKRACJĘ

BYŁEM w Kenii przed 8 laty jadąc z Sudanu do położonej bardziej na południe Tanganiki. Zachodnią granicę Kenii stanowi Uganda, wschodnią — ocean Indyjski. Droga dostępna tylko w porze suchej przekraczała szereg łańcuchów górskich, wysokie przełęcze i głębokie doliny, równiny i płaskowyzę otoczone wieńcem niebieskich szczytów, lasy cedrowe i sandałowe, zarośla bambusów, plantacje palm kokosowych i mangowców. Suchy upał dręczył nas na równinach, gdzie latami nie bywa deszczu. W górach był również znaczny, ale łagodny go powiew wiatru. W okolicy jezior przysycała powietrze denerwująca, tropikalna wilgotność.

Na wyżynach spotykaliśmy stada wielbłądów, antylopy, zryfry, zebry i gromady strusi uganiały się po dolinach, w pobliżu jezior — Rudolfa, Nianza, Ejasi — paradowały żurawie, flamingi i pelikany. Orły i sepy czatowały w górach na ofiary, w lasach czyhały lwy i lamparty, małpy skakały po gałęziach drzew, w mokradłach roilo się od hipopotamów,



krokodyli i węży, częstokroć jadących. Nocą poczucie ich obecności napawało lękiem. Lecz afrykański lud Kenii przekonał się, że czworonogie drapieżce i śmiercionośne gady wyrządzają im mniej szkód, niż biali najęźdźcy z Anglii.

Byłem tam w roku 1944, kiedy naród Kenii pracował i walczył z faszyzmem. Z plemienia Kikuyu tysiące wstąpiło do armii, by pod dowództwem brytyjskich oficerów bić się w obronie demokracji. Z niewolników na farmach białych osadników przedzierzgnięli się w świetnych żołnierzy, znakomitych kierowców. A biali osadnicy zabierali ziemię tych, co poszli na wojnę.

Dziś sytuacja jest pod wielką względami podobna. Afrykańcy znowu walczą o demokrację, osadnicy znowu zabierają im ziemię, imperialistyczny finans i przemysłowy brytyjski chcą zachować Kenię jako rynek przynusowego zbytu dla swych wyrobów (eksport: Kenii, rolniczy, wynosił w 1951 — 30 milionów funtów szt., import, przemysłowy, — ponad 50 milionów), rząd brytyjski zaciśka kolonialne kajdany.

Zajrzyjmy do pięknego domu białego osadnika. Stół na werandzie zastawiony napojami z lodu, cygara — dokoła ogród pełen barwnych kwiatów — strojne kobiety, panowie w smokingach — zebrano się dla od czytania listu, jaki gospodarz wystąpił do jednego z tygodników londyńskich (list cytowany ukazał się w „New Statesman and Nation” z 4. X. 1952): „Tubylcy będą dobrze i z zadowoleniem pracować, o ile będą mieli rozumne i stanowcze kierownictwo tych, co tak jak my, potrafili ich zrozumieć”. Ale dziś „kraj ogarnęła fala antyeuropejskich nastrojów”.

Goście przytakuja, kobiety patrzą z podziwem na miniatury Hitlera. Ten zaś czyta dalej: „Nowe ustawy dają policji i urzędnikom administracyjnym (oczywiście Anglikom) tak wielkie uprawnienia w stosunku do prasy, zebrani, stowarzyszeń i ruchu ludności, że zapewniają, bez kłopotliwego zwracania się do sądów, całkowitą władzę w kraju Europejskiej, pozostawiając tubylcom wyłącznie pełnienie właściwych ich obowiązków”.

Ustawy te uchwalono w następstwie „fali przestępstw i gwałtów”, jak ją nazwano, wywołanej rzekomo przez tajne stowarzyszenie o nazwie Mau Mau. Stowarzyszenie takie może nawet istnieć. Wśród plemion afrykańskich nie jest to rzecz niezwykła. Ale zarząd kolonii sam się zdradził, że tajny związek odbywa publiczne zebrania i wydaje dzienniki. I zdradził się ogłaszając, po przetrząśnięciu lasu Bukati, że nie znaleziono śladu początku tajnego związku, ale aresztowano 800 Afrykańczyków. Chodzi jednak nie o Mau Mau. Chodzi o zdławienie głosu Afrykańczyków, domagających się demokracji, o zamknięcie pod klucz każdego, kto, czy mógłby być przywódcą 5-milionowej ludności rządzonej przez 30.000 Europejczyków.

Dłatego aresztowano Freda Kubai i Makhanę Singha, przewodniczącego i sekretarza generalnego Kongresu Zw Zaw. Kenii. I Jomo Kenyattę, prezesa Unii Afrykańskiej w Kenii, który po wyższych studiach w Londynie wrócił, by walczyć z reakcją

dławiającej jego kraj. I Achienga Oneko, który w ub. roku jeździł do New Yorku dla przedstawienia w ONZ — czyżby potajemnie? — sprawy ucisku ludów afrykańskich.

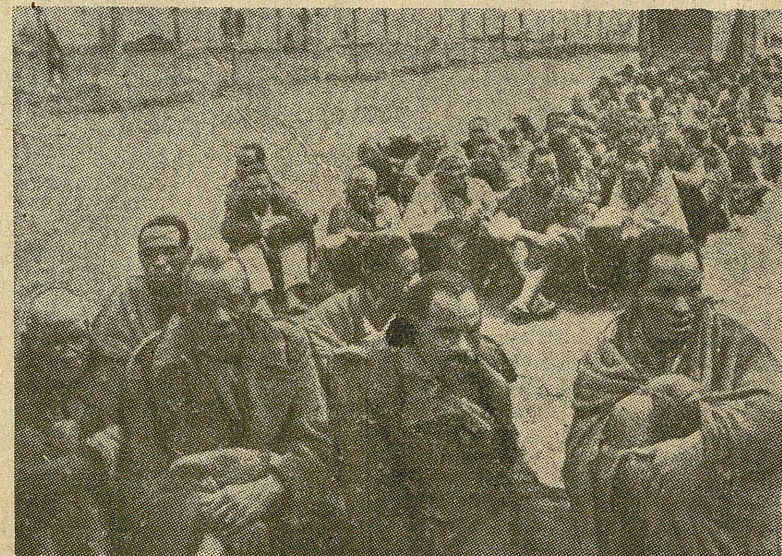
Unia Afrykańska jest organizacją legalną. Walczyła z osadnikami, gdy zabierali ludności 40.000 km. kw. najżyźniejszych ziem. Rezerwy przeznaczone dla Afrykanów mają najgorszą ziemię, ale i ta topnieje zajmowana przez kompanie handlowe, administrację i posterunki policji. A zwłaszcza, gdy zajdzie podejrzenie, istnienia gdzieś złóż mineralnych. Nie dziwnie, że kraje wśród ludności powiedzenie: „Kiedy biali przyszli najpierw do Kenii, mieliśmy ziemię, a ich misjonarze bibliję. Teraz my mamy biblię, a biali człowiek ziemię”.

Jomo Kenyatta w imieniu Unii Afrykańskiej zaproponował brytyjskiemu gubernatorowi, sir Evelyn Baringowi, omówienie praw demokratycznych ludności. Gubernator odmówił i aresztował Kenyattę, który w odpowiedzi wydał deklarację: „Chcemy, by Afrykanie grali w tym kraju należną im rolę. Chcemy u-

W kwietniu wydano nową ustawę o związkach zawodowych. Poddano jej kontroli urzędnika mianowanego przez gubernatora i obdarzonego szerokimi uprawnieniami. Wydatki na szkolnictwo wynoszą 12 funtów na dziecko białe, 6 szylingów na afrykańskie. Otwarty tymi dniami w Nairobi teatr „narodowy” ma 420 miejsc. Polityka W. Brytanii jest ta sama, jaką sformułował poprzedni gubernator, sir Philip Mitchell: „Ten kraj jest krajem brytyjskim. Kenia i jej naród, cały jej naród, są i zawsze będą brytyjskie”. Model jest ten sam, co gdzieś indziej w Afryce. W wieku XIX Stanley odkrył bogactwa ziemi i lasu oraz złoża mineralne kraju. Dla ich pompowania powstała Kompania Wschodnio - Afrykańska. W 1895 r. przelała ona swe prawa na Koronę, by podatnik angielski musiał pokryć koszty rozbudowy kolei, dróg i portów potrzebnych finansistom i kupcom. W roku 1905 zbuntowało się plemię Nandi. Bunt tłumio wojsko. W 1922 r. Afrykańczyk, Harry Thuku, agitował przeciw nadmiernym podatkom i pracy przymusowej. Jego arest wywołał demonstrację przed więzieniem. Policja ostrzelała tłum zabijając 30 osób. Thuku trzymano bez sądu 4 lata, potem deportowano. Książę Devonshire, ówczesny sekretarz kolonialny, zapewnił, że interesy ludności miejscowej mieć będą pierwszeństwo przed względami na białych osadników. Przypomina to mocno obietnicę złożoną 75 lat temu, że obecność imperialistów brytyjskich w Egipcie będzie krótkotrwała.

Od zakończenia II wojny światowej naród afrykański coraz głośniej domaga się prawa kierowania swym losem. W 1947 r. strajk powszechny robotników portowych rozszerzył się na cały kraj. W rok później Makhan Singh zorganizował konferencję związków zawodowych w sprawie plac i kosztów utrzymania. Został aresztowany. W maju 1950 r. wybuchł w Nairobi strajk powszechny z powodu aresztowania prezesa i sekretarza generalnego zw. zawodowych. Ale jest rzecz jasna, że imperialistyczne reformy, które uważają za groźbę dla swych planów uciśnienia w Kenii wielkiej bazy wojennej. Jesienią 1946 r. udał się tam marszałek Montgomery, a „Daily Mail” londyński pisał wówczas: „Kenia stała się nowym centrum obrony Imperium, podczas gdy Afryka Południowa jest arsenalem”. Od 1947 r. buduje się bazy wojskowe, lotniska i drogi strategiczne w całym kraju. Mombasa przekształca się w nowoczesną bazę morską dla zastąpienia Aleksandrii. Wydatki z tym wszystkim związane szacuje się na 200—300 milionów funtów. Plan wojenne wymagają utrzymania Afrykanów w jarmazie.

Alle ostatnie wypadki zadają kłam złudzeniu, że wielka fala powstań kolonialnych nie przetruci się nigdy z Azji do Afryki. Przeciwnie aresztowaniu mężów demonstrują kobiety — nie zważając na pałki policyjne. 23 listopada 2.000 Afrykanów demonstrowało przeciw zakazowi zebrani. Zostali ostrzelani przez wojsko. Jeden z urzędników europejskich w Kenii stwierdził wyraźnie, że drobna tylko część ludności uchyla się od poparcia wysuniętych przez Unię Afrykańską postulatów demokracji i niepodległości. Pożar szerzy się od



Brytyjska administracja — mówił białym burmistrz Nairobi — zbiera owoce własnej krótkowzroczności, gdyż niepokój jest skutkiem głodu ziemi, głodów wóchni i nerdy mieszkaniowej. Wókie podarki odstraszają ludność od własnej uprawy roli i zmuszają do szukania pracy na jejem. Kawę wońno hodować tylko za licencją, której udziela się wyłącznie białym. Dr C. Northcott w sprawozdaniu dla brytyjskiego ministerstwa kolonii stwierdził, iż wielkiej liczby robotników „złotliwe niepowodzenie zapewne nieuleczalne spowodowane głodowaniem w dzieciństwie”. Rada Ustawodawcza składa się z 25 członków. Z tego 30.000 Europejczyków wybiera 14. jednego wybiera 24.000 Arabów, 100.000 Azjatów — sześciu. Ale 5.250.000 Afryka-

krańca do krańca Afryki. Nie ma już „zacofanych terenów” dokąd ogień nie sięga. Rozwój ruchu zawodowego, jego łączność ze Światową Federacją Z. Z. szerzenie się politycznej dążeń do wyzwolenia narodowego uciśku, kres pognebnienia i dyskryminacji rasowej, odzyskanie bogactwa Afryki przez jej narody.

Napoleon, który miał pewne w tym względzie doświadczenie, mówił: „Wszystkie imperia giną na niestrawność”. Imperializm nie zdąży już wybudować w Afryce swej ostatniej twierdzy. Przyszłość Afryki leży w ręku jej ludu.

George Bidwell

ALBERT ROLLAND

KONTRASTY IRAŃSKIE

32

260.000 ton ropy (6,5% całej produkcji tego ważnego surowca strategicznego świata kapitalistycznego, wydobyto w 1950 roku w Iranie. W Abadanie nad Zatoką Perską znajduje się największa rafineria świata, o zdolności przetworczej 25.000.000 ton ropy rocznie. W rafinerii abadańskiej znajdują się najnowocześniejsze urządzenia techniczne. Produkują się tu najnowsze, stukiludziesięcio-tonowe gatunki benzyny, którą używają współczesne samoloty. W przeciwieństwie do innych krajów produkujących duże ilości ropy naftowej Iranowi nie grozi szybkie jej wyczerpanie. Zbadane pokłady ropy naftowej stanowią 20 proc. rezerwy naftowych świata kapitalistycznego. Przy tempie produkcji 1950 r. ziemie irańskie mogłyby jeszcze dać ropy naftowej przez długie dziesiątki lat.

Jednak w sierpniu 1951 r. stanęła rafineria abadańska, przestała pracować szyby naftowe, opróżniły się porty irańskie, do których przedtem zawijały dziesiątki tankowców rozwożących naftę irańską do wszystkich krajów świata. 70.000 robotników naftowych, dawniej pracujących bez wytchnienia, aby wydrzeć ziemi jak najwięcej „czarnego złota”, wyległo beczynnie na nagrzane słońcem ulice Chuzystanu (prowincja w południowym Iranie, gdzie znajdują się pola naftowe).

Spytacie co za kataklizm spowodował te katastrofy? Co nagle zatrzymało produkcję tak olbrzymich bogactw?

Nie, to nie żaden kataklizm, żadna katastrofa. Produkcja ropy w Iranie została zatrzymana z woli narodu irańskiego.

Cóż to za zbiorowe szaleństwo, spytacie? Kto to tak lekką ręką wyrzeka się olbrzymich bogactw, mogących przyczynić się do kolosalnego wzrostu dobrobytu kraju?

Niestety, nafta irańska nie była bogactwem Iranu. W świecie współczesnego kapitalizmu, kapitalizmu monopolistycznego, którego naczelnym celem jest dążenie do super-zysków, a nie jak w ustroju socjalistycznym do „zapewnienia maksymalnego zaspokojenia stałych rosnących potrzeb całego społeczeństwa” — największe nawet bogactwa nie zapewniają korzyści masom ludowym, lecz tylko garstce imperialistycznych grabieżców.

Tak też było z naftą irańską, która nie była irańska, stanowiła bowiem własność monopolu — pijawki wysysającej wszystkie soki żywotne z narodu irańskiego — Anglo-Irańskiego Towarzystwa Naftowego (A. I. O.).

Towarzystwo to powstało w 1901 roku (oficjalnie uformowanie się nastąpiło w 1909 r.) i otrzymało koncesję naftową na obszarze 256.000 km. kw. (prawie tyle co cały obszar Polski), tj. 15,6 proc. całego terytorium Iranu. W ten sposób cały południowy Iran stał się domeną tego towarzystwa. Był to okres, gdy floty wojenne przechodziły z opalania węglem na paliwo płynne. Pierwszym Lordem Admiralicji był młody wówczas Churchill. Ten drańczy przedstawił imperializmowi brytyjskiemu pragnąc zapewnić flocie brytyjskiej pewne źródło zaopatrzenia w paliwo płynne (chodziło o utrzymanie trwającego jeszcze wtedy brytyjskiego panowania na morzach) — przeformował w Izbie Gmin, że rząd Wielkiej Brytanii stał się głównym udziałowcem A. I. O. (1914 r.). W ten sposób rząd W. Brytanii z opiekuna i obrońcy imperialistycznych grabieżców (t.j. monopolu grabiących bogactwa Imperium Brytyjskiego) został w Iranie bezpośrednim uczestnikiem tej grabieży. Z tym większym ferworem za każdym razem, gdy były zagrożone interesy A.I.O., stawała za nim cała finansowa, dyplomatyczna i militarna potęga Imperium Brytyjskiego.

A. I. O. szybko stała się jednym z najpotężniejszych monopolu naftowych świata i rzeczywistym władcą Iranu. Monopol ten na terenie Iranu był czymś w rodzaju państwa w państwie. Posiadał on własne linie kolejowe, własne drogi i linie telegraficzne, własną policję. Wszystkie główne banki Iranu zostały oprowadzone przez A. I. O., która w ten sposób kontrolowała całe życie finansowe kraju. Na jej usługach znajdowali się skomunikowani politycy, dziennikarze i ministrowie w Teheranie, a także szefowie plemion Bachtarów i Karzakajów w prowincji naftowej w Chuzystanie. A. I. O. finansowała i uzbrajała te plemiona, z których uczyniła narzędzie szantażu wobec centralnego rządu w Iranie i środków walki z ruchem robotniczym. Wystarczyło, aby w rządzie centralnym zdecydowano się nawet na nieśmiałą próbę oporu wobec grabieżczej polityki A. I. O. a już szefowie Karzakajów i Bachtarów zaczęli straszyć oderwanym Chuzystanu od Iranu lub organizowali zamachy stanu zastępując nie dość uległy rząd, rządem bardziej odpowiadającym interesom A. I. O.

Gdy w 1946 r. robotnicy A.I.O. wystąpili do walki ze straszliwym wyzyskiem kompanii znowu plemiona chuzystańskie były narzędziem, które posłużyło do złamania strajku.

Ulice osiedli naftowych pokryły się wtedy trupami robotników A.I.O., ich żon i dzieci. Nędzne ich osiedla zostały spalone, a dobytek rozgrabiony. Strajk został utopiony we krwi.

Plac 70.000 robotników irańskich A.I.O. wynosiły tyle co plac 1300 urzędników angielskich. W 1950 r. zyski A.I.O. wyniosły 486 milionów dolarów. Z tego skarb Iranu otrzymał mniej niż 10%.

Toteż nie dziwnego, że kraj ten zajmujący 4-te miejsce w produkcji ropy na świecie ma zarazem jeden z najwyższych procentów śmiertelności. Śmiertelność noworodków dochodzi do 50%. Gruźlica, malaria, dysenteria, tyfus (a nierzadko też dżuma i cholera) zbiera bogate plony. Jeden lekarz przypada na 14.000 mieszkańców. W całym kraju (18 milionów mieszkańców) istnieje około 5.000 szkół z 300.000 uczniami. Więcej niż 80% ludności to analfabeci. Natomiast cały kraj oplata rozwinięta sieć palarni opium. Handel opium był bezpośrednio popierany przez Wielką Brytanię. 80% ziemi stanowi własność obszarników i rodzin szacha. Chłopi uprawiający ziemię byli zmuszeni do oddawania 75% plonów jako czynsz dzierżawny. Toteż klęski głodowe nie były rzadkością w Iranie. Zresztą nawet w latach urodzaju żywność większej części ludności składała się z chleba, cebuli i buraków pastewnych.

Taki był los Iranu pod panowaniem brytyjskich imperialistów oraz ich miejscowych zauszników.

Toteż nie dziwnego, że gdy w marcu 1951 r. zastrajkowali robotnicy A.I.O. lud irański wyległ na ulice. Nie pomógł terror policji i wojska, nie pomogły próby prowokacji ze strony przywódców plemion opłacanych przez A.I.O. Jedynym słusznym żądaniem ludu irańskiego była nacjonalizacja przemysłu naftowego i zlikwidowania A.I.O., monopolu-pijawki, ostoi wszystkich ciemnych sił reakcji.

Zadrżeli przed gniewem ludu skurpownicy politycy. Wojsko wśród którego działały komórki nielegalnej postępowej partii „Tudeh” odmawiało strzelania do swych braci. W marcu 1951 r. przeorał Medżlis (parlament irański) musiał przyjąć ustawę o nacjonalizacji przemysłu naftowego.

W ten sposób, po 50 latach grabieżczej działalności, podczas których wypompowano z Iranu olbrzymie bogactwa, padła twierdza imperializmu brytyjskiego w Iranie — oślawiona A.I.O.

Ale na tę chwilę czekały też inne hieny kapitalistyczne, lubujące się w padlinie. Monopole amerykańskie wyraziły gotowość objęcia dziedzictwa po A.I.O. Do Iranu rozpoczęła się pielgrzymka turystów z Oceanu. Przyjechał tu nawet osobisty doradca prezydenta Trumana, były właściciel hut śląskich, bankier Harman, przyjeżdżał i inni. Ostatnio bawił w „tajemniczej” misji w Iranie przewodniczący jednego z amerykańskich monopolu naftowych, Cities Service Company, W. Alton Jones. Do Waszyngtonu byli też zapraszeni irańscy mężowie stanu. Przypuszczano, że mogą być bardziej czuli na argumenty dolarowe, niż na zdewaluowane funty sterlingi, których zresztą tak skąpo udzielała A.I.O.

„Dobrej woli” z obu stron nie brakowało. Amerykanie lubią naftę, a politycy irańscy dolary. Na przeszkodzie stał tylko... naród irański.

W lipcu br. Amerykanie postanowili uciec się do środków na wielką skalę i ostatecznie wziąć „motłoch irański” w rzy. Ale amerykański mąż opatrzościowy stary agent imperializmu Ghavam Es Saltaneh, utrzymał się u władzy tylko dwa dni. Nie pomogły amerykańskie czołgi, ponieważ żołnierze irańscy, widząc co o chodzi, złożyli czerwone opaski i przyłączyli się do manifestujących tłumów.

W ten sposób spod bezpośredniej władzy monopolu anglo-saskich wypadło trzydziście parę milionów ton cennego surowca strategicznego. Oznacza to mniej benzyny, mniej olejów gazowych, mniej wysokowartościowych smarów dla imperialistycznej maszyny wojennej.

Jak stwierdza rezolucja wiecu obywateli w Teheranie „walka narodu irańskiego o nacjonalizację przemysłu naftowego i całkowite wyparcie wpływów imperialistów w Iranie jest zarazem walką o pokój na całym świecie”.

Walka narodu irańskiego nie jest jeszcze skończona. Likwidacja A.I.O. to tylko pierwszy jej etap. Dalszy bieg wydarzeń powinien doprowadzić Iran do zerwania z obózem imperialistycznym i do zjednoczenia z obózem demokracji i pokoju, jak głosi rezolucja Narodowego Towarzystwa Walki z Imperialistycznymi Kompaniami Naftowymi. Walkę tę kontynuują irańskie masy ludowe. Wzrostu jej coraz głośniejsze pomutki burzy zbierającej w sąsiednim Iraku.

Albert Rolland

ANDRZEJ DRAWICZ

NIELATWA SZTUKA PISANIA

”W

opowiadaniach tych chciałem ukazać fragmenty procesu” — pisał Stanisław Kowalewski o utworach zawartych w tomie „Bliżej jutra”.

Nie po raz pierwszy przyswiecały pisarzowi tak ambitne cele. Zarówno bowiem „Walka klas” jak i „Zaloga Elżbiety” świadczyły o tym, że sztuka pisania Kowalewskiego nie jest sztuką łatwych rozwiązań. Ze poszukiwań tych rozwiązań w splotach najbardziej wznowych zagadnień naszego współczesnego życia — w starciach klasowych bitew, w zmaganiach nowego człowieka z przeżytkami dawnej epoki.

Za tę bojowość, z którą pisarz atakuje sprawy sobie współczesne — winien mu jest czytelnik uznanie. Tym bardziej, że nad literaturą naszą ciąży ustawicznie niebezpieczeństwo ucieczki, uchylania się jej twórców od stawiania i rozwiązywania tychże spraw. Kowalewski, sięgając po nie, sięga więc zarazem po zaszczytne miano pisarza politycznego. Niedawno przecież napisał, donieś, po publikowaniu „Walki klas” robotnicy „Biremy”.

„...wiemy co to jest walka klas. Ale musimy przyznać, że po przeczytaniu napisanego przez was obrazka z naszego życia, zrozumielimy, że walka klas to nie teoria, tylko prawdziwe, codzienne życie. Jak to dobrze powiedział ktoś na zebraniu dyskusyjnym: literat Kowalewski zbijał teorię walki klas do codziennego, zwykłego dnia pracy i do naszych codziennych trosk i trudności”.

Tak było istotnie. Pamiętamy, że był to okres kiedy rozpoczynało się dopiero narastanie przełomu ideowego wśród ludzi pióra, skwitowane już w roku następnym nagrodą państwową dla pięciu debiutantów „powieści produkcyjnych”. Wiele papieru zadrukowano od tego czasu. Wiele przebrzmiało polemik i dyskusji. W ślad za ciągłymi przemianami w naszym życiu, w miarę nadążającego za nim rozwoju świadomości obywateli nowego społeczeństwa, musieliśmy zmienić nasze wymagania pod adresem pisarzy. Wzrosły. Sama tylko odważa i nowatorstwo tematyczne nie są już w stanie ich zaspokoić. Chcemy pełnego, skończonego kształtu naszych dni w całym ich bogactwie, w splotach niełatwych problemów, rozwiązywanych z pełnym nakładem artystycznego mistrzostwa.

Toteż biorąc do ręki „Bliżej jutra” chcemy przede wszystkim znaleźć odpowiedź na pytanie — czy autor spełnił podstawowe zadanie pisarza torując drogę nowym problemom, ukazując sprawy dnia codziennego w nowym świetle — wzbogacając skalę swych twórczych możliwości. Wiemy, czego chcemy — sam nam o tym powiedział. Spróbujmy się dowiedzieć, o ile mu się to udało.

Istotną po temu możliwość nastroić już pierwsze — najbardziej charakterystyczne opowiadanie „Przyjaźni”. Głównym bohaterem rekomenduje swojego przyjaciela, mającego zamiar wstąpić w jej szeregi. Wydaje się, że ma on po temu wszelkie dane, dopóki... Dopóki nie przyznał się do poważnego błędu, popełnionego w niedalekiej przeszłości. Zawinił brakiem czujności, nie zdążył wystrzec się przed szeregami partyjne. Jakaż bogata jest skala możliwości w ukazaniu wewnętrznej walki tego człowieka, ileż prawdy można by wydobyć pokazując okrucy buntu przeciw decyzji towarzyszy partyjnych, hamowane wewnętrzne refleksje i doprowadzanie w końcu do twierdzenia — jednak oni mieli rację! A tymczasem...

Stary Burek przechodzi cały ten proces w tempie swobodnie przypisanym. Wszystko dzieje się w obrotach pół strony. Najpierw jest chwila namysłu: „A jeśli się oni nie mylili. Jeśli to ja zgubiłem drogę — potawia się nagłe myśli”, a zaraz potem: „...Burek wreszcie przestaje się bronić przed trudną odpowiedzią. Człowiek, który ganił go ciężko dysząc, jest przyjaciół. Prawdziwym przyjacielem”.

Czy istnieje w takiej sytuacji jakakolwiek doza prawdopodobieństwa? Czy ciężko dotknięty i przekonany, iż niesłusznie poskapiono mu zaufania człowiek może w jednej chwili zrozumieć swoje błędy? Zagadnienie zostało uproszczone, spłycone — podyktowała je troska o poprawność schematu, a nie o zachowanie życiowej prawdy.

Opowiadanie „Po latach” to relacja o tym, jak bardzo dbać należy „lżyć k-munizmu nie zatłukić kanale”. Bojowy, aktywny pracownik terenowy nie chce z pobudek oportunistycznych ujawnić faktu sabotażu gospodarczego. Boi się konsekwencji we współżyciu z ludźmi. Przyjaźni długo nie może wytrzymać niewiarygodności w takim staniu sprawy. Alifci: „...kiedy za tobą zataczasz się drzwi, wiesz coś nagle ścisłego mnie za serce” — mówi domniemany oportunista, człowiek, który na długie miesiące — według autora — uparcie walczył z sabotażem, dywersją, szkodnictwem przy zakładaniu elektryczności. Teraz nagle w jednym momencie wrzeszczy od-

krywa, że „trzeba z jednymi walczyć, innym pomagać”. Takie postawienie sprawy jest więc tutaj podwójnie niesłuszne — bo to i za szybko i z waleniem w drzwi, które już dawno stoją otwarte na przestrzal.

W tych wypadkach, gdy chodzi o moment przełomu, o ukazanie narastania procesów psychologicznych, uproszczenia i łatwizny w przedstawieniu pobudek działania bohaterów opowiadał Kowalewski są szczególnie uderzające. W opowiadaniach typu „Suszy” i „Pełnego marca” obraz przełomu roztopia się w toku wydarzeń puszczonych luźno, spełniających rolę ilustracji.

Relacje i opisy potraktowane są po reportersku. Do dramatycznych spieć, mogących ukarać zamierzone obrazy rozwoju moralności socjalistycznej, nie dochodzi.

Wszystko przebiega gładko, bez tarć, o wysiłku wprawdzie się mówi, ale go nie widać. Sens całości znowu stoi pod znakiem zapytania. Tak więc nie dochodzi do skutku ambitne zamierzenia autorskie. Nie wystarczy bowiem znać prawa rządzące rzeczywistością — trzeba umieć je odpowiednio konkretyzować na przykładzie wybranych zdarzeń, sytuacji, losów ludzkich.

Nie można przecież zarzucić Kowalewskiemu, że nie rozumie dynamiki rozwoju nowych sił — ogólny typ rozwiązań przez niego dokonanych jest na ogół prawidłowy. Choć zresztą w „Suszy” i „Pełnym marcu” rozwiązań w ogóle w gruncie rzeczy brak. Zbyt pospiesznie jednak dokonują się przełomy w przekształcaniu bohaterów, zbyt szybko naginają się oni do potrzeb pisarskich założeń, gubiąc po drodze psychologiczną prawdę.

Nie ułatwia odnalezienia takiej prawdy fakt, że pisarz w ogóle na wiele rzeczy nie zwraca uwagi. Jeden z krytyków scharakteryzował to trafnie jako „ascezę wyobraźni”. W opowiadaniach zarówno pisarza, jak i bohaterowie mówią tylko o sprawach najważniejszych — dozwolonych bezpośrednio zagadnieniach świadomości. Stąd każdego, kto będzie je czytał, uderzy niemiłe pewna suchoty i sztywność wszystkiego co się dzieje i o czym się mówi. Nie odnajdzie kształtu, smaku, zapachu, barwy otaczającego bohaterów świata — sami zaś bohaterowie nie powiedzą mu o sobie nic ponad to, co jest niechybnie konieczne dla zapewnienia ich obecności na kartach tomu. Ta przesadna oszczędność, będąca znowu rezultatem wyłącznego zainteresowania dla problemów, przy użyciu

IRENA MACIEJEWSKA

OPOWIADANIA WIEJSKIE

O PUBLIKOWANIE polskiego tłumaczenia „Opowiadań wiejskich” Veresa zbiegło się w czasie z wydaniem „Matki i syna” Bobruka oraz „Życia za dniwo” Felisa. Równorzędność tych wydań nie jest oczywiście tylko sprawą przypadku. Źródłem tej zbieżności jest troska krajów demokracji ludowych o jak najpełniejszy rozwój nowej literatury tworzonej dla robotników, a nie rzadko przez robotników.

Droga życiowa pisarza węgierskiego różni się od losów pamiętnikarza polskiego jeżeli chodzi o zakres doświadczeń pisarskich. Bobruk i Felis pisac zaczęli dopiero w Polsce Ludowej. Veres natomiast rozpoczął rzemiosło pisarskie o wiele wcześniej, bo jeszcze przed drugą wojną światową. Nie o to jednak chodzi. Mimo owej różnicy stażu pisarskiego — u wory te są sobie bliskie, powstały bowiem na wspólnej fali przebudzenia klasy robotniczej do świadomości rewolucyjnej. Pisarz węgierski ma za sobą — mimo pewnych odmienności lokalnych — ten sam, typowy dla bezrolnego proletariatu wiejskiego, zasób doświadczeń, co i nasi pamiętnikarze. Syn wiejskiego pastucha z obszarowego majątku węgierskiego na drogach swej tułaczki wędrownie zetknął się z proletariatem miejskim. Wkrótce też związał się z jego rewolucyjną ideologią. Wieloletnia aktywna działalność polityczna zaprowadzi Veresa do literatury. Wartość przekona się pisarz, że literatura stanowi skuteczną metodę walki z ustrojem krzywdy i wyzysku, że spełnia ona ogromną rolę agitacyjną i uświadamiającą wśród mas. Odtąd też swa pracę radykalnego działacza politycznego łączył będzie z pracą ludowego pisarza, który w przedmowie do „Opowiadań wiejskich” tak formuluje cele prawdziwej literatury: „Pierwszym zadaniem literatury powinno być ukazanie, jak człowiek cierpi i pracuje, jak raduje się i smuci, jak działa lub truje w beczynności, jak idzie naprzód lub cofa się — jednym słowem, jak przebiega, jakim znanym podlega życie jednostki i całego społeczeństwa na tle wydarzeń historycznych”.

„Opowiadania wiejskie”, jak o tym mówi tytuł, traktują o sprawach życia wsi węgierskiej. Początkowo spośród nich, napisane przed rokiem 1939, pokazują losy proletariatu wiejskiego w systemie kapitalistycznym; druga część publikacji relacjonuje pewne fragmenty życia Ludowej Republiki Węgierskiej. Opowiadania Veresa nie należą bynajmniej do osią-

ludzi tylko jako materiału ilustracyjnego obca jest realistycznemu pisarstwu. Grozi największą klęską jaka może spotkać ambitnego i zdolnego pisarza — nieczytelnością książki.

Widzimy, jak cierpi na tym ideała wymowa dawanych w utworach rozwiązań. Staraliśmy się zasygnalizować powstałe w rezultacie braku artystyczne. Do nich należeć będzie także zupełna jednostajność mowy potocznej, którą przemawiają postaci z kart książki. Mimo, że pochodzą z różnych środowisk, że reprezentują różne zawody i są odrębnymi indywidualnościami, mówią one zawsze tak samo — krótkimi, przesadnie oszczędnymi, prawie bezosobowymi zdaniem. Najwidoczniej wypowiedzi są potrzebne autorowi wyłącznie do posuwania akcji naprzód, mają charakter czysto użytkowy — w żadnym zaś wypadku nie służą do charakterystyki osób mówiących.

Podobnie jest z opisami. Są, a jakże. Mają za zadanie umiejscowienie akcji w przestrzeni — i nic więcej. Przynajmniej nie są w stanie nic ponadto uczynić. Nie działają bowiem na wyobraźnię, są płaskie, nijakie, nie trafiają do przekonania czytelnika.

Niewesołe są wyniki tego przeglądu zawartości „Bliżej jutra”. W całości wnioski te sprawić może mogą wrażenie zbyt już jednostronnych. Jeśli jednak wysiłki recenzenta szły głównie po linii wykazania wszystkich niszczących skutków, jakie ma dla utworu nieznajomość złożonych i niełatwych do odcyfrowania praw rozwoju nowego życia — był w tym jeden zamierzony cel. Chodziło o wykazanie, że temat, że śmiałość problematyki już nam w tej chwili nie wystarczy. Trzeba ją dopełnić dużą sumą wiedzy o życiu, czerpanej nie tylko z prasy — ale z bezpośrednich kontaktów i obserwacji. W tych warunkach stanie w miejscu, poprzestawanie na dawnych osiągnięciach oznacza cofnięcie w rozwoju. Także i Kowalewski powinien jak najszybciej ruszyć naprzód. Zbyt wiele wymagamy od pisarza, aby kłajstrować poważne błędy w kształcie jego utworów.

Dłatego ocena tomu wypadnie negatywnie. Niechby za to następne doczekały się pochwał.

Andrzej Drowicz.

TADEUSZ KUBIAK

IDĄC ULICAMI DZIECINSTWA

Ci drobną urzędnicy w zrudziały paltach. I jedynie piękny przed pewnym domem kasztan.

Przedmieście bardzo brzydkie. Jesień pod chmurą niską. I jedynie piękne wspomnienie dzieciństwa.

Zbierałem wśród piasków kamki kolorowe na miejscu olszyny listopadowej.

Szły czarne pociągi na Brześć, na Białystok. Ostry profil księżycy czasem w stawie błysnął

Wyli jak psy — pijani ceglazie w Rembertowie. Kto dziś zbiera kamki w olszynie listopadowej?

Kto dziś widzi Wiarusa na ławkach wieczorem, przygląda się podróżnym pociągom i torom?

Kto czyta „Wierną rzekę” w ogródku pod płotem? Kto wychodzi i błądzi przez wiatr i słotę?



Irena Maciejewska

tyłe część druga stanowi ciekawy obraz omdleńnego niż u nas przebiegu rewolucji 1945 roku, rewolucji, która dokonała się na Węgrzech w sposób odmienny niż w Polsce. Tak uprzedzić „wywłaszczenia wywłaszczenieli” trwał o wiele dłużej, ziemia nie od razu i nie cała została podzielona między chłopów i robotników folwarcznych. Zjawiska te znalazły żywe odbicie w utworach Veresa. Odzwierciedlona w nich została również walka proletariatu i chłopów z oportunistycznym i dwulicowym rządem Nagya. W trakcie uporczywej pracy nad zagospodarowaniem odebranej obszarom ziemi, poznajemy życie węgierskiego chłopstwa w demokratycznym, prawdziwie wolnym państwie. Obserwujemy przemiany dokonywane się w świadomości mas pracujących Węgier, przemiany podobne do tych, jakie przebiegały i na naszym polskim terenie. Ciekawe jest pod tym względem opowiadanie „Próba”, w którym ukazano, jak mentalność drobnego chłopskiego posiadacza stopniowo dorasta do zrozumienia celów wspólnej, gromadkowej gospodarki. Ważny jest tu fakt, że w stronę spódniozielnia kierują go nie tylko trudności i kłopoty indywidualnego posiadacza (choć i te grają tu poważną rolę: „Po co ma na swoim samotnym gospodarstwie sam, się borykać z kłopotami o dzieci, pieniądze i bydło, po co martwić się o ziemię, wodę, mroź lub posuchę, kiedy w gromadzie leżę będzie walczyć z wszystkimi trudnościami, które zysła niebo, ziemia i los”), ale przede wszystkim świadomość większej przydatności gospodarki kolektywnej dla państwa.

Piękne w swej ludzkiej treści jest opowiadanie „Na swoim” o brażującą walkę z przeżytkami „starego” w życiu społecznym a jednocześnie w psychice pojedynczego człowieka pracy, który zaczyna cenić swą godność wolnego człowieka. Kończąca scena opowiadania, w której chłop i dawni folwarczni robotnicy bronią zdobyci przez rewolucję ziemi przeciwko jej dawnemu posiadaczowi, wskazuje na tworzące się w nich poczucie socjalistycznej wspólnej własności, na świadomą już konieczność obrony jej przeciwko wszystkim wrogim zakusom.

W sumie opowiadania Veresa stanowią dokument zwycięskiej walki, jaką toczył lud węgierski z kapitalizmem, dając świadectwo trwającej wciąż jeszcze pracy nad ukształtowaniem świadomości i charakteru nowego socjalistycznego człowieka.

Irena Maciejewska

KRYSZYNA PAŁYS

ROBOTNICY PGR-u CZESŁAWICE



ZACZYNAM OD BUKIETA

Z ABAWNE psisko ten Bukiet. Sierść na nim długa i sztywna, trudna do określenia barwy, oklapłe uszy zakończone szczeciastymi pedzelkami, pysk przyodabia rzadką brodę, a palikowaty, wyskubany ogon nie dodaje uroku całości, na którą złożony jest cały ten szlachetny wilk i pospolity kundla, krzyżowanych w rozmaitych okolicznościach co najmniej od dwóch pokoleń. Leży ten stworzonego przez naturę i typy żółtawymi ślimakami w moją stronę. Duży łeb złożony na przednich łapach, i nawet nie drgnie na widok bulki, a już wyraźnie lekceważy zachęcające nawoływania. Za to gdy pojawia się brygadiera Przybylski to kupka zmierzwił się sierści podskakuje błyskawicznie, dopada w dwóch susach do nóg brygadiera i w przejmującej gromie skowytów wypowiada na swój sposób psie uczucia, przywiązania i miłości. A oborowy klepie pocztowe psisko po niekształtnym łbie.

Przyszli do naszego PGR-u tamtej jesieni i w żaden sposób nie dał się odpędzić. Tak się zadomowił w Czesławicach, że gdy go odprowadziliśmy do dawnej gospodyni, uciekał za każdym razem. Nie podobała mu się widać służba w wiejskiej zagrodzie, wołał naszą socjalistyczną gospodarke.

Bukiet kocha brygadiera bałwochwalczy, psim uczuciem, a żyje w wielkiej przyjaźni z Borutą, buhajem-silaczem. Każdy omija tę ognistooką bestię, tylko oborowy i pies mogą się do niej zbliżyć bez obawy. Wystarczy popatrzeć na gra-

jace pod cienką skórą węży mięśni, żeby zrozumieć, jaki ładunek siły nosi w sobie Boruta. Ot, teraz dośnośnie buczenie z przegrody, daje znać o niezadowoleniu silacza. Mimo to Przybylski idzie spokojnie do buhaja, a ten nadstawia połyżny kark, żeby go poklepać, a potem liże dłoń opiekuna.

Ignacy Przybylski rozpoczynał pracę w Czesławicach przed trzema laty i ludzie nie bardzo wtedy rozumieli jego metody. „Poznańskie porządki” zaprowadza w oborze — mawiali z uśmiechem, — ponieważ oborowy stamtąd pochodził. — Jak to nie można uderzyć bydła? Chłopi na wsi łoją skórę krowinie ile wlezie i nie martwią się, że mleka mniej będzie dawała.

W oborze było od samego początku bydlę niby rasy nizinnej, ale kto tam mógł sprawdzić, jakiego naprawdę pochodzenia, kiedy krowy ściągano skąd się dało. A u krowy — jak powiedział Przybylski — metryka najważniejsza. Skądże było brać sztuki z rodowodem, kiedy oborowy oczyścił Lubelskie z bydła do ostatniej krowiny, zostały tylko same chabety. Chłop wołał wtedy stracić parę koni niż krowę. Konia mógł zastąpić traktor, a mleka maszyna nie dawała. W PGR-ze też na początku niewiele od bydła wymagano i mleka nie było wiele, ale za Przybylskiego nawet te krowy bez rodowodu doły się coraz lepiej. Każdego miesiąca odstawał tysiąc litrów, albo dwa i trzy ponad plan, a każdy teraz wie, że corocznie potrafi wyciągnąć od krowy po dwie i pół setki więcej, niż przewidywali.

Przybylski jest rozmowny, lubi opowiadać o swoich sprawach. Zachodzi często do kuźni, ponieważ w kowalu Wacławie Fedorowiczu ma cierpliwego słuchacza. Z ich wspólnych rozmów zrodził się pierwszy pomysł racjonalizatorski w PGR-ze. Każdej zimy tracili ludzie w Czesławicach wiele czasu na skracanie haczyków na druty do zawieszania pedów chmielu. Robili te haczyki, jak i wszędzie, — ręcznie. Trzech chłopów musiało dłużyć przez dziesięć godzin z rądo, zanim zrobili 500 sztuk tego drobiazgu, a na hektar szło ich cztery i pół tysiąca.

— Leż to czasu marnuje się — zauważył kiedyś Przybylski — że też nikt nie pomyślał nad tym, żeby takie rzeczy robić maszynowo. Obecnie w samych tylko Czesławicach trzeba sto osiemdziesiąt tysięcy takich haczyków.

Zbiórano się już na przedwiośnie i czas był najwyższy zaczynać robotę przy haczykach, kiedy kowal

przyszli do kierownika majątku Zygmunta Maciążka.

— Ho, ho, sprawa musi być nie była jaka, kiedy zdecydowaliście się zabrać głos — żartował Maciążek i poszedł za Fedorowiczem do kuźni.

— Ściągnąłem was tutaj wedle tych haczyków... Zdaje mi się, że już nie trzeba będzie tyle czasu młotrzeć na takie drobiazgi — tłumaczył kowal.

W taki sposób znalazł się w Czesławicach racjonalizator. Sparządzone plany urządzeń i Lubelskie Zakłady Chmielarskie zastosowały je w praktyce. Trzech ludzi wyrabia teraz w dziesięć godzinach do dwudziestu tysięcy haczyków. Niby głupstwo, ale w krajowej produkcji daje dziesiątki tysięcy oszczędności.

Wrodzona żyłka do majstrowania i pierwsze powodzenia były bodźcem do dalszych prób. Teraz w kuźni czesławickiej kowal Fedorowicz głowi się nad konstrukcją samoczynnego zbieracza i transportera, który mogłaby być łączący w agregat z radziecką kopaczką do ziemniaków. — Przyczepi się do niej transporter Fedorowicza i wóz, a agregat, będzie



— sam kopał, zbierał i ładował — zdradził swoje zamiary Fedorowicz. Od czasu do czasu zaglądał do kuźni Stanisław Zmora.

— No jak tam idzie? — pytał do brodusznika. — Będą się nasze baby cieszyć czy nie? Skonczą się ich narzekania na ból w plecach od ciągłego zginania się? Kiedyż to człowiek spodziewał się, że będzie można wyprostować plecy przy takiej robotcie. Toć ja z moją starą latą całe zginanie plecy i kopalem napróżno dla Lilipapa a potem dla Miłowicza...

Ruchliwy Maciążek, którego w każdym kącie pełno. Zmora nieco powolniejszy, pełen tej rozważi, któ-

ra cechuje doświadczony gospodarz i zawsze ciągle czymś zajęty, chociaż mu na siódmy krzyżyk idzie, stary Samorek z chlewni, niezwykle mocno zrosił się z gospodarstwem w Czesławicach. Czymże nie zajmował się tutaj Maciążek? Był robotnikiem połowym, rybakiem, stajennym i gajowym. Razem ze Zmorą i Samorkiem uprawiali tę ziemię od miodosi.

— Widzieliście w Czesławicach dwie drewniane bramy, z daszkiem krytym gontem? Zbudowali je obszarnicy dla nadania swoim posiadłościom lepszego fasonu, bo przed willami w Czesławicach takie bramy budowali — opowiada Zmora. — Bramy tylną wychodziliśmy z gumna na roboty, albo zwoziiliśmy płony dla właściciela Czesławic, Lilipapa, kuźnia tych sławnych Lilipopów, co to mieli fabryki w Warszawie. Bramą frontową on wywoził stąd pieniądze, albo jeździł po żniwach, żeby czym prędzej sprzedać zbiory. Ładował zebrane groz do kieszeni i jechał zagranicę! Ostenda, Nicea, Neapol — trzeba było ciągnąć. A na to wszystko trzeba było nie mało gotówki, na którą musieliśmy zapracować my.

MOKRE WYKOPKI

Nadzieje Zmory nie spełniły się tej jesieni. Ludzie w PGR-ze musieli zginąć jeszcze grzybeli przy kopaniu ziemniaków, chociaż mają radziecką kopaczkę. Nie dlatego, że kowal zawiódł, ale po prostu pogoda nie dopisała. Przy końcu sierpnia sygnęło deszczem, zazieleniło się w polu za kilka dni i oborowy Przybylski przestał narzekać na brak zielonej paszy, ale we wrześniu lato codziennie, nie ustawało też w październiku.

— Zeszłego roku chłop czekał na deszcz jak kania, a teraz znów nie zamysłają się niebieskie upusty, jakby chciały oddać to, czego latoś pokopywały — mówili w Czesławicach. Z kopaniem nie spieszyli się. Ciężko było, chociaż jesień już szła głęboko, a nać zieleniła się jeszcze, ziemniaki rosły. W drugiej połowie października powiedział sobie, że dalej zwlekać nie można.

Zrobił zebranie w świetlicy. Nie jeden patrzył tego wieczora z zaintrygowaną miną w okno. W parku świerki ociekały wodą, deszcz spływał falami po szczybach. Nawet w głośniku radiowym gulgotało, jakby dostała się do niego woda, zrozumiał jednak, że speaker opowiadał o przygotowaniach do XIX Zjazdu WKP(b).

Wypadałoby i nam jakoś go uczcić — zauważył Zmora — dopiero

rewolucyjna reforma pozwoliła chłopom dobrać się do ziemi obszarniczej.

Rada w radę, podjęli zobowiązanie. Postanowili skrócić wykopki o trzy dni. Przewodniczący rady zakładowej Wnuk wciągnął to do protokołu, ale czy człowiek mógł z taką pogodą sobie poradzić? A oni: wszystko jedno, skróćmy wykopki i koniec.

Wyprowadzili w pole radziecką koparkę. Słyszeli, że w Kocku mieli z niej wielką pociechę. Ale tam przecie ziemia piaszczysta, a pod Naleczowem czysta glina. Niebo przewatarło się trochę, wjechali w kartofli-sko traktorem. Przejechał kilka metrów i zarył się w glinę a błoto oblepiło tak kopaczkę, że trudno było dotrzeć do pojedynczych części. Ledwie udało się agregat wyciągnąć z pola.

Zmora zaklął siarczysto, a Maciążek orzekł z determinacją: Nie ma innej rady, jak kopać ręcznie i sytać od razu na wozy. Inaczej zamokną kartofle i nie będzie można kopować. Trudno, tyle lat gielimy się we dwoje u dziedzica, wytrzymamy jeszcze ten raz, kiedy mamy taką zaplanowaną jesień.

Na pole wyszedł, kto był żyw w PGR-ze. Zony, dzieci, krewniacy. Sam Kotulski przyprowadził swoją kobietę, dwie córki i syna. Wydarli jednego dnia z półtora hektara. Wieczorem wszyscy szli do wsi i werbowali robotników dochodzących. Po dwóch tygodniach skończyli z ziemniakami i trzeba było zabrać się do buraków, ale o wywiezieniu ich z pola nie było mowy. Z gliny nie wydobędą się nie tylko samochód, ale i naladowany wóz.

— Będziemy kopować, wywiezie się, gdy nastanie mróz — postanowili i zobowiązanie wykonali.

Kilkaset ton buraków cukrowych czeka na nadejście mrozów, a ludzie z Czesławic wdychają ciężko, kiedy im wspomnieć o urzędniczkach z Powiatowej Rady Narodowej w Puławach.

— Trzy kilometry jest wszystkiego z Naleczowa do Czesławic i nie mogą zdobyć się na budowę drogi. Traktory nasze grzęzną, łamią się wozy, niszczą samochody, a ich to nie obchodzi. Cukrownia w Garbowie musi czekać na buraki a Centrala Ogrodnicza w Naleczowie na kapustę.

WRACAMY DO BUKIETA

Maciążek, Zmora, Przybylski, Samorek i kilkudziesięciu innych ludzi miało wstęp do dworu tylko przez



tylną bramę. Do PGR-u weszli od frontu, jak gospodarze. Komitet Robotniczy, nie kto inny, wybrał Maciążka na kierownika. A komu naprawdę należała się ziemia, niech mówią tegożocenne zbiory: Wymieśli 29 kwintali pszenicy z hektara po siewie krzyżowym, 31 jęczmienia i 30 owsa. Ziemniaków wykopali po 210 kwintali z hektara. W tamtym roku odstawał 100 kwintali chmielu ponad plan. Złożyli na kilkunastu hektarach ogród warzywny. Mają w zespole ogrodnika, dawnego robotnika w Józefowie nad Wisłą, Jana Sliwę, który prowadzi w PGR Józefów największy w kraju sad na 120 hektarów. Różnie w nim 60 tysięcy drzew. Samorek i Depta są przewodnikami w chlewni, doglądają 400 sztuk trzody.

W tym samym pałacu, przed którym czekał daremnie na plenipotent Lisowskiego, obchodzili dożynki.

Czyż Bukiet, śmieszne, pocztowe psisko, nie dowiódł nieomylności psiego instynktu, wybierając sobie służbę w PGR-ze Czesławice? Siedzi teraz naprzeciw Przybylskiego, a tuż obok ciągnie z nad stawu nieprzerwany sznur białych kaczek-pekinek. Pies typie na nie od czasu jednego okiem, a potem patrzy bystro w oczy swego pana. Odzywa się w nim ni stąd ni zowąd kilka kropielek wilczej krwi, odziedziczonej po którymś z przodków.

— Nie rusz Bukiet — upomina brygadiera. — Byłbyś szkodziłkiem i musiałbyś ciebie wypędzić, bo u nas nie ma dla szkodziłków miejsca.

Bukiet dźwiga w górę oklapłe, zakończone szczeciastymi pedzelkami uszy i wali z całych sił oskubanym ogonem o stwardniałą na pierwszym mrozie ziemię.

Gdzieby tam porządny pies z PGR-u wbrew woli swego pana nastawiał kaczki.

Psie ślepią znów szukają oczu brygadiera.

Krystyna Pałys

JERZY K. MACIEJEWSKI

U ZAPOMNIANEGO WORCELLA



Henryk Worcell z synem

W LUTYM i marcu br. na łamach „Wsi” ukazały się dwa reportaże Henryka Worcella z Trzebiezowic jako Ładka - Zdroju (woj. wrocławskie). Autor, osiadły po wojnie w tamtych stronach i znający świetnie miejscowe stosunki, pisał: „ujrzałem przechodzącego sołtysa z Trzebiezowic, Szwajkowskiego... Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego widok tego dzielnego, ruchliwego człowieka budził we mnie niepokój... I dlaczego przychodził mi na myśl, gdzie ja go ostatnio widziałem, z kim, w jakich okolicznościach? Z sekretarzem Kretem? Z Batorem?”

W tych niewielu zdaniach kryło się pewne niedomówienie, wzbudzające ciekawość. Ten reportaż Worcella uderzał swą prawdziwością ukazującą rzeczy niełatwych, choć często rianazowanych po imieniu. Była przecież mowa o ludziach żyjących, o środowisku, w którym Worcell przeżywał. Więc aby poznać tych, o których pisał on przed niespełna rokiem, wybrałem się do Trzebiezowic. Coś jakby w trop za sprawami, które podjął, lecz nie dokńczył Worcell. O Batorze pisał wręcz, że jest kulakiem, który solidaryzował się w pełni z Matkowską, ustosunkowując się opornie do akcji skupu. O sekretarzu Podstawowej Organizacji Partijnej Krecie dodawał, że jego rola przy przyjmowaniu młodego Dobrowolskiego do Partii była nieco niewyraźna. Worcell postawił pytanie, na które zresztą nie udzielił odpowiedzi: „Dobrowolski znów uśmiechnął się i nie odrzekł nic, tylko prztyknął palcem w grdykę. Czy to miało znaczenie, że Kreta jacyś ludzie przekupują wodką?”

W Podstawowej Organizacji Par-

tyjnej powiedziano mi o Krecie po prostu:

— Jako sekretarz organizacji ze swych obowiązków wywłazywał się nienagannie. Kiedy jednak w naszej gromadzie wypłynęła sprawa utworzenia spółdzielni produkcyjnej, wyjechał do Bystrej na roboty w lesie, pod pozorem, że tu nie miał z czego żyć. Zdał swoją gospodarke, zabrał konia. Obecnie jest robotnikiem leśnym. Wybrałszy innego sekretarza...

A więc Kret usunął się z pola widzenia. Wybrał inny zawód, znikł z oczu. Ale pozostał Szwajkowski, urzędujący sołtys.

Zapytana o niego nauczycielka Czapowa, niemłoda już kobieta o dobronudnej twarzy oświadczyła, że Szwajkowski ze swych obowiązków wywłazuje się jak należy. W wyborach brał czynny udział. „Trzeba jednak wiedzieć wszystko, dodała na zakończenie, by ocenić pewne rzeczy...”

A jednak coś niedopowiedzianego krąży wokół sołtysa Szwajkowskiego. Ludzie na wsi mówią i sądzą raczej niechętnie. Nigdy niewiadomo, czy jutro nie trzeba będzie pobiec do sołtysa ze swoim intersem. Paulina Terlikowska natomiast nie kryje się ze swym sądem: To człowiek, który za wodkę wszystko dał.

Terlikowska i jej mąż są repatriantami. Gdy przybyli w te strony otrzymali gospodarke ośmiolhektarową. Ale leżała ona za górą, pod lasem. Były wprawdzie wówczas wolne inne gospodarke, ale Terlikowska nie wiedziała, że aby je otrzymać, należało wręczyć pewnym osobom „poręczawicze”. Określenie to jest po prostu łagodną odmianą słowa — łapówka.

— Pięć razy składałam podanie o przydzielenie innej gospodarke, aż gdy mąż przy wywózce drzewa z lasu złamał nogę, to mi podanie uwzględniono i przydzielono gospodarke bliżej. Dostałam siedem i pół hektara i te oto stare zabudowania. Było to przed rokiem. W czerwcu. Tam obśladaliśmy wszystko jak się patrzy...

Na te zasiewy dokonane przez Terlikowskich podaszczą się Krystyna Cygankówna. Nie dla siebie zresztą, a dla szwagra, który pracował w mieście jako piekarsz i praw żadnych do gospodarke nie miał. Ale znaleźli się „życzliwi”, którzy Cygankównie pomogli.

Wśród nich był i sołtys Szwajkowski. Potwierdził on podanie Cygankówny o nadanie dawnego gospodarstwa Terlikowskich, do czego prawa nie miał. Decyduje o tym zasadniczo aktywa wiejski. Ale ponieważ przewodniczący GRN Ma-

zur był po stronie Szwajkowskiego, więc podanie Cygankówny uwzględniono. Z tą chwilą Cygankówna nie dawała Terlikowskim spokoju, wyganając ich z gospodarke, łącąc, a nawet posuwając się do rękoczynów. Czym tłumaczył się ten nagły pospiech? Troską gospodarską? Chęcią zadbania o przydzielone gospodarstwo? Czy po prostu uzyskaniem korzyści własnych? Postępowanie Cygankówny wskazywało na istotę zagadnienia. Po zbiorach chciała zdać gospodarke, lecz zamiar na razie został udaremniony interwencją Terlikowskich w województwie. Jaka była rola Szwajkowskiego w tej sprawie? Więcej niż niewyraźna. Nie więc dziwnego, że pisząc o nim Worcell nie dopowiadał pewnych rzeczy, choć rozstrzygnąć powinien je kolektyw gromadzki. A jeżeli składa się on z przyjaciół Szwajkowskiego?

Rola korespondenta terenowego czy też sprawozdawcy jest trudna i odpowiedzialna. Nastawiony on jest na skuteczną działalność na różnej szczyłach i w walce z nim wróg ima się wszelkich sposobów. Nawet gdy pisze wymierza obiektywną sprawiedliwość skrupulatnie kierując się dobrem społecznym, znajduje się tacy, którzy dopatrzają się w tym złam. dla swojej wsi. Obserwator społeczny, za jakiego uchodzi w gromadzie korespondent terenowy, dla wielu jest przysłówiową „solą w oku”. Tam, gdzie niejednemu jakieś drobne nieporozumienie sąsiedzkie czy też w miej-



Nauczycielka szkoły podsta. — ob Czapowa

scu pracy uszłoby niepostrzeżenie, staje się wielkim oskarżeniem w stosunku do osoby korespondenta. Worcell gospodarke w Trzebiezowicach nie ma. Mieszka tam i z

żoną Antoniną, Polką urodzoną pod Zytomierzem w Związku Radzieckim. Jest to młoda energiczna kobieta, przewodniczy miejscowemu Kołu Gospodyń Wiejskich.

— Nieraz ludzie pytają mnie, jak było t a m, w moich stronach rodzinnych? Władza radziecka umożliwiła mi zdobycie wykształcenia, ukończenia „agrotechnikum”. Rodzice moi są Polakami i należą do kołchozu, gdzie wiedzę się im bardzo dobrze. Znam dobrze moje rodzinne strony i wiem, jak tam jest. Wszystkim powodzi się dobrze. Gdy o tym mówię we wsi, zdaje sobie sprawę, że niejednemu to się nie podoba...

Worcellowa została przez hitlerowców wywieziona na roboty do Rzeszy i tam poznała swego męża. Zna doskonale jego przedwojenną twórczość, widząc, że dumna jest z męża-pisarza. Prowadzi dom i pomaga mężowi w jego utrzymaniu dorabiając robeniem swetrów. Chciałaby przejść nawet do bardziej aktywnej pracy, ale nie pozwala jej na to stan zdrowia.

Worcell jest autorem śmiałej powieści pt. „Zaklęte rewiry”, opisywającej środowisko kelnerów, w której ukazał on całą prawdę życia. Za to spotkał się z wieloma szykanami tego środowiska. Następną jego książką był zbiór opowiadań pt. „Spotkania o zmroku”. Po wojnie Worcell osiedlił się na ziemiach zachodnich, prowadził przez jakiś czas gospodarstwo, ale na skutek złego stanu zdrowia a bardziej jeszcze zgnębienia pierwszą fazą walki o „Rewolucję w Guranowie” (owocem konkursowy reportaż w 1950 r. we „Wsi”) zrezygnował z gospodarke i przeniósł się do Trzebiezowic.

Napisał powieść, ale bardzo nierówną i nieopiejoną społecznie, wymagającą zatem jeszcze dużej pracy. Napisał też sztukę sceniczną o powstaniu spółdzielni produkcyjnej. Ale sztuka ta leży u wydawcy, który domaga się daleko idących zmian. Kiedy bieda przycisnęła Worcella (ma on owoce dzieci), nie zważał się pracować jako zwykły robotnik przy załadunku wagi pów na stacji. Ostatnio podjął pracę jako kelner w miejscowej gospodzie ludowej.

— Praca tam — powiedział mi — ukazała jak na dłoni cały mechanizm gminy. Kto się spotyka, z kim, jakie sprawy są ubijane przy kieliszku, a wódka beztrosko demaskuje i odsłania prawdziwe intencje...

— Pracuję pan tam jeszcze? Worcell milczy. Znać chce przyjść mu z pomocą, ale nie daje



Ogólny widok Trzebiezowic

on jej dojść do głosu dodając:

— Nie. Zostałem przed paru dniami zwolniony...

Gdy wracał z Gospody wieczorem, prawie zawsze wychodziła na przeciw żona. Bała się o jego bezpieczeństwo. Reportaż Worcella, pisane z pasją i bezkompromisową szczerością narobiły mu wrogów O „wy-padek” więc nie trudno. Kiedy reportaż jego ukazywały się we „Wsi” pisarz i jego żona wykupowali w Kłodzku i Ładku-Zdroju wszystkie egzemplarze, gdyż woleli, by nie dostały się w ręce „nie-powolnych”, a przez Worcella opisywanych czy też wymienionych choćby z nazwiska.

Prezes gminny ZSCh a zarazem członek Gminnego Komitetu ZSL Jan Krycz na moje zapytanie o zwolnienie Worcella z pracy i o powody, odpowiada dość ogólnikowo.

— Szkoda, by się tu w gospodzie marnował. Trzeba go wziąć stąd i dać mu coś po jego fachu. Pytacie, czy może pić? Któż u nas nie pije. Ale nie, Worcell naiwno nie pije. Społecznie pracował...

— To zajęcie nie było dla niego — podkreślała w swej wypowiedzi nauczycielka Czapowa, a kierownik szkoły Kukulski, dodał: — Trzeba go wciągnąć do pracy oświatowej. Fakt zamieszkiwania tutaj nakłada nań obowiązki wobec społeczności...

Po wypowiedziach mieszkańców Trzebiezowic, rozumiem, dlaczego Worcell przestał pisać. Mimo pewnych zastrzeżeń co do jego osoby sąsiedzi jego przyznawali autorowi „Zaklętych rewirów” talent i poniekąd byli dumni, że żyje ich zyciem i środowiskiem. Zastrzeżenia, niewypowiedziane zresztą jasno, dotyczyły „mieszkania” się Worcella w życie gromady. Powieść o wsi podkłodziej, o troskach i radościach jej mieszkańców, to rzecz z której niewątpliwie byłoby zadowolony, ale



Henryk Worcell, w. Dobrowolski (syn) i jego ojciec

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

W ODWIEDZINACH U SMIECHURSKIEGO

NIE żałuję tych odwiedzin. Wprawdzie przebyłem daleką drogę, tłoczyłem się w pociągach i ledwo znalazłem miejsce w przepelnionym autobusie, ostatecznie jednak dojechałem do Kosiowa, gdzie ominięto wsi, leżącą w powiecie Sroda. Z miejsca zapamiętałem o Smiechurskim Czesławie.

Wygląda on typowo, zrzędu. Dużo mu tylko głos, a będzie narzekalnym zamilowaniem. Patrzy na mnie uważnie, tak jakby na osobę trochę, jak by tu po wlecieć — z poznańską. Oczywiście wędrując z góry na dół, do cyfliczki do butów. Wreszcie pyta:

— Wyście z gazety?

A tedy przysłałem, z miejsca rozpoczął swoją litanię.

— Panie, prasa dzisiaj mocna, sprząść koniecznie czy plan na zboże, żywność i mleko był tego roku spowolniony i był podatki aby nie zduże.

— Aco wam się widzi, że państwo urat w waszej gromadzie przesyła? Nie wykonałście planów?

— Ja ja tu produkuje, zboże u mnie 100 procent a mleko i żywność 150. Podatek też w porządku.

Stary jak to mówią — ugrzy si w jak, speszyl. Zrozumiał, że przylapam go na zwykłej sprzeczności. I owo czuję jego bystre oczy na się, patrzył lekko podejrzliwie, i z pewnym szacunkiem. Wreszcie powiedział:

— Wy gazety lubicie się pytać. Zagadacie, niech ja se posucham.

Zapytałem, czy w gromadzie są kłusacy i wyglądają za skupem i kontraktacją. Nie posłuchał se Smiechurski ale dopiero teraz zaczął gadać całego. Taki już z niego chł.

— A są nie, są! Robić im się nie chce. Zią ziemi do Gminnej

WOJCIEC SMULA

Rady Narodowej, a ta podrzuca mało i średniorolnym te hektarki jak kukulka jajka.

Z miejsca uświadomiłem sobie, że natrafiam na bardzo interesującą sprawę, najwidoczniej żywo obchodzącą Smiechurskiego, a może i innych chłopów. Ileż ziemi kłuskiej podrzuca im GRN i w jaki sposób chłopci ją obrabiają?

Stary jest już wyraźnie podeńwawany. Opowiada, że z łaski GRN kilku biedniaków stało się średniakami, kilku średniaków „porubiło”, znaczy przekroczyło 10 ha.

— A teraz rady sobie dać nie możemy — Smiechurski wybuch gwałtownie, bierze mnie pod rękę i energicznie zawraca. Dochodziłmy właśnie do budynku GRN.

— To przez tych urzędników!

— Po coście brali w takim razie ziemię, chcieliście się zzbogacić, przynajmniej się?

Zdumiała mnie odpowiedź tego poznańskiego średniaka.

— Wzieliśmy, bo się nie może zmarować tyle hektarów rzepaku, jeźmienia browarnianego, linańki, czarnej gorczycy. Toć to wszystko kontraktowane. Nigdy nie byliśmy na końcu to i przez kłusaków zostało nie mogliśmy, rozumiecie?

Rozumiem. Smiechurski mówił to wszystko z dumą współgospodara gromady. Te kilka lat zorganizowanych akcji gospodarczych, ożywiły go i politycznie. Stary wyraźnie oddzielił się od kłusaków, skup i kontraktacja wproci adziła go na rynek handlowy, przyniosła ekonomiczną niezależność. Stał się uspołecznionym chłopem. Dobrze, dobrze, ale czemu stary taki ży?

— Wreszcie roku każdy osobno obrabiał te kłuski hektary, a będzie tego p.nad 30. Tyraliśmy jak mogli. A kłusacy cygara se palili i pisali podania do GRN o umorzenie podatków, że niby ziemi nie mają i obniżkę skupu. A prze-

cież myśły byli podobni do ich dawnych parobków.

Rzeczywiście było się o co złościć. Z jednej strony poczucie zbiorowej odpowiedzialności za wykonanie planu nie pozwoliło mało i średniorolnym pozostawić dobrej ziemi odłogiem. Z drugiej poważne obciążenie, wyczerpanie na pomoc ze strony POM-u, przy zwiększonej odpowiedzialności z nie swoją ziemię. Ale chłopci wyrwali.

— No ale chyba złościć się jeszcze za zeszły rok, w tym zaożyliście przeciw Zespołowi Uprawy, a wy Smiechurski jesteście członkiem zarządu. Dobrze mówicie?

Nie dobrze. Spotkała mnie nowa niespodzianka. Stary złościł się przede wszystkim za ten rok. Nie mogłem tego w żaden sposób pojąć. Co za zrzęda! Wszystko mu źle! Obrabiają wspólnie, łatwiej to i szybciej, mają umowę na pomoc z POM-u i zagwarantowane pierwszeństwo. Obródko lepiej niż kłusakom, a Smiechurskiego nawet publicznie pochwalili. Co za kawały urzęda mi stary?

Kończymy rozmowę już w domu. Smiechurski zaprosił kilku towarzyszy z zespołu. Wyglądali to trochę uroczysto. Wszyscy się ładnie uśmiechali, ale nikt nic nie mówił. Myślałem początkowo, że spróbują postawić mi wodki i zaproponują jakieś uderzenie w GRN. Możliwe że chodzi im o uzyskanie na własność tych hektarów, jakieś wieczone nadanie, każdemu po trochu.

Rzeczywiście! Nie spodziewałem się tego, co zasło.

Brzanek zaczął od narzekania na POM.

— Widzicie sprawa jest taka: powiadają — zapłaćcie połowę pieniędzy za pomoc, resztę w naturze. A przecież to naturę — kontraktujemy. Do tadu dojdę nie można.

Wiedziałem, że nie o to chodzi. Wreszcie Smiechurski zagał w imieniu zebranych.

— Ja wiem, że wy nie rolniki, ale i tak możecie mieć głowę nie od parady. Tego roku gospodarujemy lepiej niż w zeszłym. Wspólnie obrobiliśmy kłusacką ziemię i jakoś samorodnie zaczęliśmy pomagać sobie na indywidualnych gospodarstwach.

Do czego on prowadzi? Nie mogłem się doczekać dalszych słów. A staremu akurat nie spieszyło się tym razem. Zadumał się, pociągnął papierosa, popatrzył uważnie po zebranych.

— Ta ziemia jest nasza i nie nasza. Rozebrać jej między siebie nie możemy, bo nie da tyle co na wspólnym, a planu zniżyć nie można. Jakby to wyglądało? Wziąć między siebie to kłopot większy. Ludzi u nas w rodzinach mało. Co by tu zrobić, żeby pracować wspólnie, a ziemia była nasza, tyle w nią człowiek kładzie pracy i potu. Tyle się o wyniki namartwi.

Stary umilkł jakby zadowolony, że przedstawił sytuację bez wyjścia. Więc o to mu chodziło!

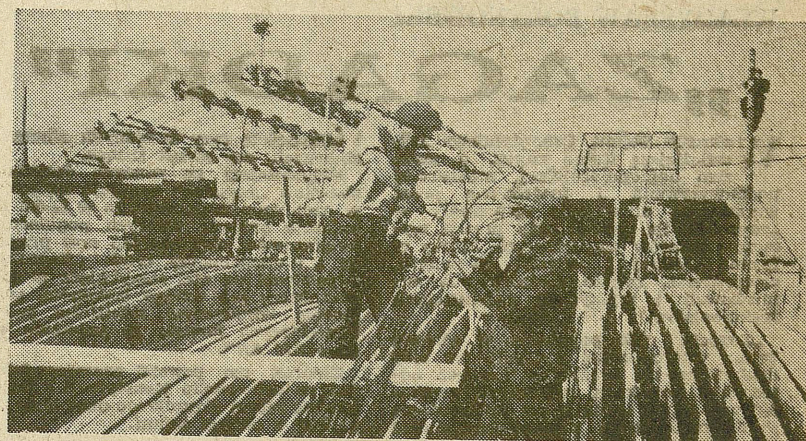
Jasne, że od indywidualnego gospodarowania na porzucenie ziemi musieli przejść do zespołowego. Walczyli twardo o wyższą wydajność i honor gromady w wykonaniu planu skupu i kontraktacji. Cofnąć się teraz nie mogą, a co dalej — nikt z nich powiedzieć nie umie.

— Pomyślcie o spółdzielni produkcyjnej. Ziemia będzie najbardziej wspólna i najbardziej wasza własna.

Zapadła cisza. Nikt mnie wprawdzie nie poparł, ale też nikt nie zaprzecował. Czy grupa uprawowa przemieni się w socjalistyczny kolektyw?

Wyjeżdżając nie umiałem sobie na to pytanie odpowiedzieć. Ale ryśnię, że nie bez znaczenia był silny uścisk dłoni jakim pożegnał mnie Smiechurski. Brzanek i kilku innych...

Wiesław Jażdżyński



FELIKS BĄBOL

KOMBINAT PRZYJAŹNI

PALI się! Ludzie, pali się. Obudźono komendanta straży. Migiem ubrał się, nasadził na głowę ciężki hełm i wybiegł z izby.

— Gdzie się pali?

— Na Buguju pewnie...

Komendant spojrzął na wielką lunę, w pewnej chwili pokłonił głową i tym co stał najbliżej, pokazał palcem „czolo”.

— Tu się pali! — I nie sobie nie robiąc z wrażenia, jakie wywołał, ruszył do chałupy. Przed samymi drzwiami odwrócił się nagle i dodał:

— To wy jeszcze nie wiecie? Przecież to fabryka się buduje, a że tyle światła, to i co? Żeby szybciej — ludzie budują i w nocy. Spać spokojnie, chłopaki!

Luna światła z Bugaju pod Piotrkowem dochodziła do Krężny, do Poniatowa, widzieli ją wyrażnie chłopcy w Witowie, Moszczonicy i nawet w Gazdów. Wieść docierała szybko poprzez ugory i płaski pól, na wiosnę 1950 roku wszyscy chłopcy w powiecie wymieniali w rozmowach najnowsze wiadomości. Słowo „kombinat” nie schodziło z ust:

— To duża fabryka, ten kombinat, będzie moc pracy i teraz przy budowie i potem, gdy już ruszy...

Ale sława kombinatu była zersza. Mówiło się o nim w całym kraju, mówili się więc i w Łodzi. Dzięki temu dobry przedziałnik Rodewald któregoś dnia postanowił:

— Jadę, tam przecież robota pólnierska. Lubie taką robotę! „I zamienię” Łódź na Piotrków. Bo to był taki okres: ludzie „z głową” bardziej uświadomieni, fachowcy, przyjeżdżali na Bugaj, wołał ich dąs wielkiego budownictwa, zaś setki chłopów z podpiotrkowskich wsi ciągnęły nowe i nieznane, praca i chleb.

— Lokalizacja nie trwała długo, rada inżynierów radzieckich nad sporządzeniem dokumentacji technicznej dobiegała końca. Na Bugaj pojechał pędzący nieprzerwanie materiał i maszyny. Kolejarzy na stacji w Piotrkowie nigdy przedtem nie mieli tyle roboty z przeładunkami co owego 1950 roku. Zwrócił się na ogromnym placu budowy od ludzi — z najodleglejszych zakątków powiatu przybywali chłopcy, zgłaszali się do murarki, do roboty betoniarskiej. Po 1 maja tegoż roku, gdy w obudowie fundamentu spoczął akt erekcyjny Kombinatu, noce podobne były dniom — ten sam rozgwar robotniczych brygad, to samo tempo tak charakterystyczne dla wielkich budów. Lampy elektryczne zasępowały słońce. Kolejka sulejowska dyszała ciężko, dowożąc ludzi. Wesoło przy śpiewie, pieśń się mury przedziałni cienko-przedniej, umacniała się też przyjaźń i porozumienie z technikami i budowniczymi radzieckimi.

— Szumiały jeszcze bokami wielkiego placu budowy lany zboża, ale tuż obok wystrzelały już mury gigantycznej przedziałni. Biegły po niebie chmury ale szybciej jeszcze toczyły się po torach wagon, z materiałami. Zbrojenia murów chłonięły materiał nienasyconie. Wtedy to właśnie nasi ludzie otrzymali pamiętną lekcję nowego stylu pracy. Chodziło o betonowanie szwedów nad przedziałnią.

Gdybyśmy chcieli je betonować po staremu — mówili jeden z inżynierów radzieckich — zabrało by to nam może 40, a może 50 dni. Ale my spróbujemy to zrobić szybko! Zbudujemy w tym celu kombinat...

I pokazali, jak taki kombinat powinien wyglądać. W lot poszukano szyn, zbudowano odpowiednie podwozie, na podwoziu uruchomiono cały zespół urządzeń, na pozór prostych, ale jakże celowych! Kombinaty podjeżdżał pod szedry, robił „swoje” i posuwał się po szynach dalej. Z kilkunastu dni czasu trwania roboty skrócono w ten sposób do kilku.

Ludzie nie czekali na robotę — robota czekała na ludzi. Dziesiątki i setki skrzyż z maszynami przedziałniczymi przybywały na teren budowy dzień i noc. Wraz z nimi przybyło 90 radzieckich „speców” od montażu. Brygady kończyły prace przy budowie ogromnej hali fabrycznej a jednocześnie, przygotowywano się do drugiej wielkiej bitwy.

— Przyjaciele — mówili wtedy inż. Białożapka, który przybył wraz z monterami — montaż maszyn i urządzeń na przedziałni to ważna rzecz. — A zwracając się do polskich monterów ciągnął dalej:

— Pokażemy wam maszyny, zapoznamy z ich częściami tych, którzy nie znają jeszcze radzieckich wrzecien i maszyn obróbkowych...

Na wieść o nowym etapie budowy wielkiej fabryki znów zaszumiło na wsiach piotrkowskich.

— Chciałbym poznać radziecką technikę — wyruszał swe pragnienia Stefan Opala.

— Ty? Smiechu warto! — wydzialił sąsiedzi — Nie dasz rady. Czy ty wiesz co to jest montażowanie? Robieś kiedy co innego, niż przy plugu?

Nie zachwie się Opala. Zgłosił się do kierownictwa budowy i wkrótce należał do brygady monterów. Było ich z dwustu. Garneli się do tej ciskawej roboty ludzie zupełnie czasem surowi, ślusarze, kowale, jacyś mechanicy czy też, jak Opala i tylni inni — chłopcy wprost od pluga. Nie zdziwilo to radzieckich monterów.

— Kto chce może się szybko nauczyć — mawiał inż. Nieskiełrow — wytłumaczmy chętnym co i jak.

W lipcu ub. roku ruszyła przedziałnia średnia, odbudowana w starych murach Manufaktury. Ale gdy na rocznicę Rewolucji Październikowej — 6 listopada 1951 zaczęły dudnić maszyny i zespoły przedziałnicze w nowym budynku przedziałni cienkiej, fakt ten stał się wydarzeniem dla wszystkich.

Ciągnęły ze wsi piotrkowskich wycieczki chłopów i ciekawych ludzi. Olsnieli ich każdy szczegół nowej fabryki. Nadziwili się nie mogli, jak to w 18 miesięcy można zamienić łaki w nowoczesną fabrykę. Zadzierał głowy do góry, by lepiej dojrzeć źródło jarzeniowych światła, czyniących z nocy dzień i zupełnie nieszkodliwych dla oczu robotnika przy maszynach, zwiędzała przedziałnia.

Z dumą i podziwieniem patrzyli na radzieckich inżynierów, tych, którzy robili plany i tych, którzy w codziennej walce z czasem pomagali polskim załogom w przyswojeniu nowych postępowych metod pracy. Za wycieczkami ruszyła do kombinatu wielka fala ludzka ze wsi.

— W takiej fabryce to aż miło pracować i zdrowo i można się czegoś nauczyć...

Minał rok. Z ekipy radzieckich inżynierów i fachowców pozostało tylko czterech — inż. Nieskiełrow, Żelazew Bielakow i Bruchanow. Miel obserwować maszyny w czasie rocznego okresu gwarancyjnego.

Przedziałnia cienka zdala egzamin na piątkę — mówi o tym Rodewald, który „zamienił” Łódź na Piotrków i który w między czasie został kierownikiem przedziałni. — Pomagali nam nasi przyjaciele przez cały ten czas. Dzięki nim wyszły też z kłopotów na wrzecienach, gdzie nie osiągalniśmy właściwej wydajności. Zbadał dokładnie maszyny, wykrył błędy i dziś wrzecienice pracują na medal! Więc i z wykonaniem planu dużo łatwiej. Popatrzenie — przedziałnia cienka: październik i listopad po 105 proc...

Ale okazuje się, że po nogach nie tylko tych 90 monterów radzieckich, którzy maszyny składali jak zegarki, nie tylko tych czterech inżynierów którzy z uwagą śledzili pracę maszyn przez cały rok. Pomogli załozdę również znany już dziś milionom w Polsce radziecki inżynier Kowalow i jego metoda.

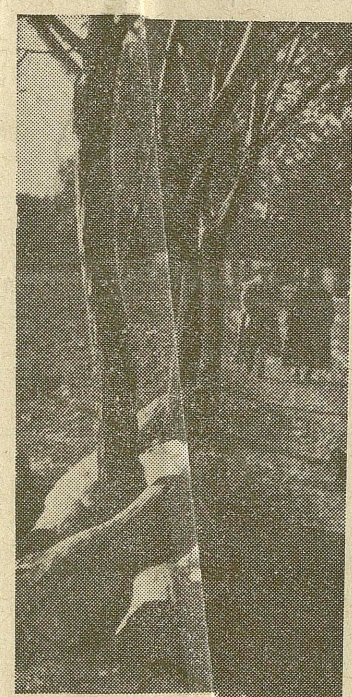
Właśnie przy pomocy tej metody instruktorka Otylia Zielińska uczy dziewczęta wiejskie dobrej pracy na maszynach. Metoda inż. Kowalowa sprawiła że 18-letnia dziewczyna z Poniatowa Janina Kiełkiewicz po rocznej pracy w kombinacie osiąga już 111 czy 114 proc. normy, to inż. Kowalow sprawiła, że co miesiąc wzrasta przeciętnie wykonanie baz o 9 proc., a w listopadzie nawet o 11.

Rodewald od czasu do czasu zagląda do grubego albumu, wypisuje cyfry, kalkuluje.

— To projekt radzieckich inżynierów — mówi — jest w nim wszystko, co trzeba. Łatwo może porównać pracę każdego zespołu na przedziałni z założeniami planu zaplanowali bowiem i wydajność zatrudnienia. Oni — inżynierowie i technicy z Wielkiego Kraju Rad pomogli nam przy budowie własnej dwóch fabryk. Bo jedna to ta z żelaza a druga — to ta żywa powstała z tysięcy chłopów ze wsi. Taka to wspaniała zasługa Kombinatu Przyjaźni!

Felix Bąbol

Inspektor Winniczek w terenie



Maclejewski

OSUWAŁ się za inspektorem niekiedy z opuszczoną ręką, w stanie niemal statycznego skupienia, zając, by krocząc dobiegł śladami jego gumowych butów. Wreszcie inspektor wychylił nosa, by oświadczyć nie bez złozenia:

— Jesteśmy na mi! Zaraz zarządzą gorące herby.

Stanęliśmy u zielonki. Od czytalem napis: „Zar Gminnej Spółdzielni w Chrobaczu”. Inspektor nacisnął kłam Furka ani drgnęła.

— Tam do katali! — nał. — Gdzież w takim razie trwanie? Nadsluchiwałem w cieniu. Potem inspektor Winniczek przełaził przez plot i zaimotat drzwi — Jest tam kto?

Cisza. Nawet echo „czyto odpowiedziałem?”

— I cóż teraz? — spyta.

— Trzeba działać! — ydo-wała. — Udamy się gdzieś her-bate... Ładna niedziela, psu!

Posłaliśmy On przedem, idam jego gumowych butów. Wódzie pełnym stanowczości, re-j nabył przy wydawaniu ich decyzji i zleceń na szach gminnych, odgadywałem lew inspektorze człowieka niepogo. Po trosze też przypomniał-biz, co o nim w powiecie po-ja... On nie przychodzi — P-b y w a, nie widzi — z s t r e g a, nie mówi — p m a w i a, nie podpisuje — „s d a s w a s y g n a t u r e” robi — d z i a t a.

— Posterunek MO... — zw-tem uwagę na biały budynek pośród malowniczych świerków — Dadzą nam herbaty? — w i ł się inspektor.

Tego nie wiem — odparten lecz dowtedy się, gdzie mies-prezes...

Dziurawy milicjant okazał ciekawym gościnnym. Przysu-trzem. Na razie musimy wyrazić nam krzesła do kafflowego pieca sam zajęł się poszukiwaniem czo-łam zajął się poszukiwaniem czo-łam zajął się poszukiwaniem czo-

Grzejąc nogi przy piecu i popija-jąc gorącą kawę, słyszeliśmy jak telefonował z drugiej izby w różne strony świata. Wymienialiśmy ze sobą spojrzenia pełne najbardziej różnorodnych nadziei.

W kilka minut później milicjant zjawiał się z rozpromienioną twa-rzą, z nawyku służbowego, który staje się drugą naturą człowieka, recytował nam z oszołamiącą do-kladnością:

— Piłsiński Wincenty, lat 42, żo-naty, dwójce dzieci pięć męskich, bez nalógów, cztery hektary, p r e z e s g m i n n e j s p ó ł d z i e l n i i w Chrobaczu, miejsce zamiesz-kania: gromada Trębacz e koło poczty... Grzywacz Ignacy, lat 33, kawaler, bezrolny, zna-ki szczególne: tysy, s e k r e t a r z g m i n n e j s p ó ł d z i e l n i w Chrobaczu, miejsce zamieszkania: Trębacz e u Jana Kapielskiego chłopca średniorolnego, lat 58, żonatego...

— Wystarczy! — wdarł się w ten potok wymowy inspektor Winniczek. — Jak daleko do wsi Trębacz?

— Iii, niedaleko... Stąd pięć kilo-metrów polem. Ale dzisiaj lepiej drogą. Droga nie będzie dalej jak siedem kilometrów. Za godzinę będziecie na miejscu...

— Całą godzinę w takiej zadym-ce? — oburzył się Winniczek.

— A nie macie tutaj jakiego roweru?

— Jest, ale służbowy...

Posłaliśmy tedy w zanieć i po-niewierkę, Winniczek przedem, ja śladami jego gumowych butów. Nos inspektora wyrażał całe piekło nieokreślonych uczuć. Dyszał zęma-stą i był krwawo-czerwony jak zęma.

Mineło już dawno południe, kie-dy dobiłmy przemoczni i zzięb-nięci do gromady Trębacz. Poczęt znaleźliśmy bez większego trudu, opodal z krytego papą matego domku uchyliła nam drzwi kobieta.

— Męża nima!

— A gdzie jest prezes? — in-da-gował inspektor.

— W terenie...

— To niby gdzie?

— A bo ja wim? Może sekretarz powle!

— Gdzie mieszka sekretarz?

— A tam... — tu szeroki gest dlonią, obejmujący pół wioski.

Posłaliśmy szukać sekretarza. Zna-leźliśmy dom na skraju gromady, Otworzyła nam drzwi żona 58-let-niego Jana Kapielskiego, chłopca średniorolnego bez nalógów...

— Sekretarza nima.

— A gdzie jest?

— W terenie!

— Po jakiej linii?

— Służbowej.

— A dokładnie?

— Spytajcie sołtysa... Sołtys bę-dzie wiedział...

Udałmy się wobec tego na dru-gi kraniec wioski. Sołtysa nie za-staliśmy. Był w terenie. Sołtysina nic nie wiedziała.

— Więc kto u licha ma wie-dzieć? — grzmiał inspektor.



— A wesela odbywają się często w tej okolicy?

— Jak u ludzi, bywają...

— A dzisiaj?

— Dzisiaj też pewnie.

— Zanim, to... Ważny szczegół.

A teraz wracamy!

W Chrobaczu skorzystaliśmy po raz drugi z przytulnej gościnności posterunku M.O. Dziurawy milicjant: usadowił nas blisko kafflowe-go pieca i dał gorącą kawę. Sam poszedł telefonować. Zjawili się po długiej chwili z ponurą miną.

— Nic z tego — oświadczył.

— Przewodniczący GRN w terenie, je-zo zastępcą w terenie, I sekretarz Komitetu Gminnego w terenie, II-gi sekretarz...

— ...w terenie! — trafił w se-dno inspektor.

— Pociąg do Łodzi za dwadzieś-cia minut — napomknętem, patrząc na zegarek.

Winniczek przyjrzał mi się z po-gardą.

— A raport? Kto za mnie ra-port napisze? Wy jedziecie. Bardzo proszę. Ale ja, tutaj, na posterun-ku, jak żołnierze... do końca... potrzebuję groźnie wiecznym pio-rem. — Styszełście, w okolicy od-bywają się wesela. Co to znaczy, pytacie? (Wcale nie pytałem). Ho, ho dużo to może znaczyć. Wesela też potrafią odciągać aktywny gim-ni-y od konkretnej roboty, od zebra-nia... Muszę zbadać... Tak — prze-de mną wesela...

W dwa dni później dowiedziałem się, że gmina Chrobaczów wyko-nata w całości wszystkie swoje o-bowiązki wobec państwa. Nie zwa-żając na niepogodę i dzień świa-teczny aktywny gimni-y dotarł do wszystkich gromad. Nie czekano na inspektora! On zaś — człowiek stanowczy, trzeba przyznać — do-tarł na wesela.

Janusz Maciejewski

Wojciech Smula

Notatnik z pola walki

(Dokończenie ze str. 7)

sztuki europejskiej, która w ubie-głych latach, jak powiedziałem, biłała się nieraz po bezdrożach i upadała w proch i w błoto, tracąc najważniejszą ze swych wiar, wie-rę we własne przeznaczenie, idea-pokoju jest wielkim ratunkiem, o-zwyczajnym źródłem, krynicą nowego życia!

Słowa te mówił pisarz z wiarą tym większą, że oparta na włas-nym doświadczeniu. Wiemy jak wielką ożywczą rolę w twórczości tegorocznego laureata Nagrody Państwowej odegrała walka o po-kój i aktywny udział w niej pisa-rza. Dowodem tego jest sama „Sprawa Pokoju”, zawierająca tyle nowych pięknych wierszy. Miejmy nadzieję, że ten „ożywczy prąd” w twórczości tego wybitnego pisarza ogarnie nie tylko publicystykę i poezję, ale i prozę powieściową, w której Iwaszkiewicz jest takim mi-cielem gościnnym. Przysu-trzem. Na razie musimy wyrazić nam krzesła do kafflowego pieca sam zajęł się poszukiwaniem czo-łam zajął się poszukiwaniem czo-

Publicystyka nigdy nie wychodziła na ze twórczości najwybit-niejszych pisarzy. Nie trzeba na to przywoływać przykładu Krasićkie-go, Prusa i Żeromskiego, Fadleje-wa, Gorkiego czy Szaginiona. Przez publicystykę wcieli realizację poglę-biali znajomość życia, poznawali jego prawa, uczyli się zarówno ar-tyzmu jak i pokonywania własnych obciążeń i skrzywień ideologicz-nych. Nie jest przy tym publicy-styka gatunkiem pomocniczym dla nauki realistycznego pisania, ale gatunkiem samodzielnym, posia-da-jącym same w sobie niemiernie trwałe wartości, a którego głównym zadaniem jest bezpośrednie reago-wanie na reportaże niemal po-trzeby chwili. Dlatego nie powinni-jmy unikać nasz pisarzy Kruczkow-ski i Iwaszkiewicz dwaj tak różni w swojej dotychczasowej drodze pi-sarskiej twórcy są dla nich ży-wym, zachęcającym do naśladowa-nia przykładem.

